POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. ***Dnia 20-go września 1941r.*** **Rok III. Nr. 38**

PRZED NADCHODZĄCĄ ZIMĄ

Któregoś dnia ze zdziwieniem przekonaliśmy się w Szkocji, że black-out trzeba robić już o godzinie ósmej. Londyńczycy zasuwają kotary nawet przed ósmą. Prasa brytyjska co raz rzadziej pisze o możliwości rychłej inwazji. Doniesienia z Rosji, gdzie bolszewicy bronią się dzielnie, ale co raz dalej w głębi kraju—zaczynają mówić o deszczach, które już padają i o śniegu, który zacznie padać.

Tak jest—powoli zbliżamy się do zimy. Do trzeciej zimy poza krajem. Dla olbrzymiej większości z nas—trzeciej zimy bezrobocia. Pierwsza była w obozach internowanych lub jeńców, następna w Szkocji—zima bezrobocia . . . zbrojnego. Tego pojęcia, które narodziło się na tych łamach i już powszechnie się utarło—nie potrzebujemy objaśniać.

Bezrobocie rujnuje człowieka pod każdym względem. "Zbrojne bezrobocie"—nie pozbawia nas wprawdzie chleba, ale atakuje równowagę duchową, drąży naszą odporność nerwową, wżera się w nasze dusze, budzi tysiące wątpliwości, wystawia na próbę nasze siły moralne, może zadać straty inne, ale tak samo dotkliwe, jak straty materialne, ponoszone w boju. Bezrobocie zbrojne męczy ludzi więcej, niż najcięższa praca, ponieważ czyni życie p o z o r n i e bezcelowym.

—"Jeśli nie pójdziemy do Egiptu, Rosji, Persji, Islandii czy na inny jaki biegun—mówi się tysiące razy każdego dnia—jeśli [illegible]ma tej inwazji, jeśli brak jest pracy dla naszych karabinów, *brenganów* i dział—czyż nie lepiej byłoby, zamiast trawić czas bezczynnie w szeregach—pójść pracować w fabryce? Robotników brak, każda para rąk jest potrzebna. Szczególnie para rąk wykwalifikowanych."

—"Z większym pożytkiem pracowałbym w fabryce"—to argument spotykany jakże często w rozmowach w "bezrobotnym wojsku." Tak często, że narzuca się przypuszczenie, iż to jest zjawisko specyficzne nasze, polskie, wyrosłe na naszym tylko podłożu duchowym i w naszych tylko warunkach.

Tymczasem uważny czytelnik prasy brytyjskiej znajdzie na jej łamach dowody, że t e s a m e wątpliwości budzą się w umyśle niejednego żołnierza brytyjskiego i nie jednego Brytyjczyka-cywila.

Czymżeż bowiem innym jest dyskusja na temat ogołocenia rolnictwa z rąk roboczych, ilustrowana licznymi złośliwymi karykaturami, jak nie próbą udowodnienia, że silne, męskie ręce "bezrobotne" w wojsku, są potrzebniejsze na polu walki gospodarczej? O czymżeż innym mówi list do redakcji jednego z dzienników pisany przez byłego górnika, obecnie żołnierza brytyjskiego, który mówi o swych wątpliwościach—czy nie lepiej było by, gdyby on i wielu innych żołnierzy wróciło do roboty w swych dawnych zawodach, do pracy w przemyśle?

Prawdopodobnie gdybyśmy porozmawiali szczerze z żołnierzami brytyjskimi — przekonalibyśmy się, że wielu z nich przeżywa te same wątpliwości, tak samo męczy się "zbrojnym bezrobociem." Nie jest to więc naszą tylko bolączką, nie tylko nas ona trapi.

Jest to po prostu jedno ze zjawisk tej wojny, jeden z fragmentów, który stanowi cząstkę ogólnego zmagania się, stronę moralną walki o Jutro Świata. *Nie jesteśmy jeszcze dostatecznie silni zbrojnie, by móc iść na kontynent i wyzwalać Europę. Musimy być dostatecznie silni moralnie, by chwili tej doczekać w pełnej sprawności bojowej.*

Równocześnie zaś jesteśmy załogą fortecy, która wprawdzie nie jest w tej chwili szturmowana, ale jest oblęgana i możliwość szturmu zawsze istnieje. Jednym z atutów taktyki Hitlera jest to, że umie on czynić rzeczy nieoczekiwane.

Nieraz w rozmowach żołnierskich bagatelizujemy sobie rolę, jaka nam przypadła. A jednak spójrzmy na wyniki naszych ćwiczeń polowych z udziałem naszych brytyjskich kolegów, na wyniki strzelań na poligonie, na budowane przez nas stanowiska i na wiele innych świadectw naszej pracy, a nawet najbardziej znudzony—bo tak to nazwiemy—spokojnym życiem żołnierz przyzna, że jesteśmy tą częścią armii sojuszniczej, którą każdy dowódca zaliczy do bardziej doświadczonych, wypróbowanych swych oddziałów. Doświadczonych i wyszkolonych żołnierzy Wielkiej Brytanii napewno nie zbywa. Każdy więc z nas mocno się liczy w rachunku dowódców.

Ale jest to nie tylko rachunek alianckich dowódców. Wojsko nasze w Szkocji "liczy się" też mocno w rachunku polityków, nie tylko według jego liczebności, która oczywiście nie wytrzymuje porównania z armiami stron walczących, ale przede wszystkim jako jeden z dowodów naszej woli walki.

Powtarzamy rzeczy, które nie raz były mówione i są znane. Nigdy nie będzie zamało—przypominać "bezrobotnym wojskom," że jest to tylko pozorna bezczynność, że sama obecność w Szkocji i dobra postawa—p r a c u j ą dla sprawy Polski.

Tym nie mniej jest rzeczą wielkiej wagi, specjalnie przed zimą, by wojsku temu zorganizować tak życie, by żołnierz mógł nie tylko doskonalić się w swoim wojennym rzemiośle, ale i przygotowywać się do przyszłych swych zadań w Polsce, ale i czas bez walki—z jak największym pożytkiem dla siebie i kraju spędzić.

Zbyt często żołnierza tego, po dwóch latach służby w wojsku, po zdobyciu przez niego znajomości broni i służby—traktuje się jak rekruta, zbyt często jego dzień zapełnia się czynnościami, które za bardzo wyraźnie mają charakter tylko wypełniania czasu. W ten sposób może być podsycane poczucie bezcelowości, bezużyteczności wysiłków.

Kiedy jednak przychodzą chwile wymagające celowego wysiłku—żołnierz z ochotą bierze się do pracy. Na poligonie praca aż się paliła w rękach, zespoły "grały" bez zająknienia, wyniki były wysoko ponad poziom tego, co przeciętnie widziano tam przed naszym zjawieniem się.

Kiedy wezwano żołnierzy do pracy w polu—i ochotnicy się znaleźli, i ci co poszli na rozkaz rękawy zakasali, uczciwie pracując, i pomimo różnych "ale" okazało się, że żołnierz polski w polu pracuje—jak twierdzą farmerzy—wydajniej od żołnierza brytyjskiego.

Stara się, bo czuje c e l o w o ś ć tego wysiłku.

To jest wielka rzecz, żeby zawsze żołnierz czuł celowość tego co robi. To jest zadaniem propagandy w wojsku—przekonać żołnierza o celowości tego co robi. Ale też trzeba, żeby w wojsku praca była zorganizowana celowo. Podczas przedłużającego się postoju na leżach w Szkocji to jest poważna sprawa do rozwiązania. Musi ona być przed zimą rozwiązana na wszystkich szczeblach, by zima, pora deszczów, śniegów, długich wieczorów i ciężkich myśli —była wykorzystana w kierunku dalszego podniesienia wartości naszego wojska, a nie przyczyniła się do osłabienia naszej postawy. Jest to zagadnienie, które musi już dziś zająć zarówno sztaby, jak i niższych dowódców, oficerów oświatowych i t.d.

Trzeba zawczasu przygotować zarówno program, jak i jego realizację. Z tą drugą—jest napewno zawsze u nas—gorzej. Wiemy, że i w r.ub. były projekty szerokiej roboty oświatowej na zimę, ale wiemy też—my w oddziałach, że nawet okruchy nie zostały z tego w rzeczywistym życiu przeprowadzone.

Żeby zakończyć garść tych uwag konkretnymi postulatami pozwolimy sobie wytknąć trzy kierunkowe dla programu pracy na zimę:

W dziedzinie wyszkolenia—pogłębić specjalizację, głównie w dziedzinach, które są pociągające dla żołnierzy ze względu na ich przydatność i w życiu pozawojskowym. Szkolenie mechaników samochodowych, ślusarzy, rusznikarzy i t.d. Zainteresowanie będzie napewno duże. Przy tym wszystko co robimy w zakresie wyszkolenia—róbmy solidnie. W trzecim roku wojny żołnierz nie może strawić powierzchownej roboty wyszkoleniowej. Za dużo już sam umie i rozumie.

W dziedzinie oświaty—dajmy możność każdemu rozszerzyć swój światopogląd, posiadane umiejętności. Jesteśmy drugi rok w Szkocji i naprawdę jej nie znamy. Jesteśmy drugi rok w kraju języka angielskiego, który ma tak wielkie znaczenie w świecie—iluż z pośród nas nauczyło się poprawnie mówić i pisać po angielsku?

A przecież może to dla każdego mieć wielkie znaczenie w przyszłości. Jesteśmy w kraju, w którym tak wiele możemy się nauczyć w dziedzinie samorządu czy spółdzielczości. Możemy to zrobić na miejscu, w każdym miasteczku, gdzie stoimy. Nasze wojsko jest naszpikowane t.zw. inteligencją. Pełno jest ludzi, którzy mogliby ze znajomości tych spraw na brytyjskim terenie wyciągnąć korzyści dla społeczeństwa i siebie w swoich własnych miastach i miasteczkach.

Ostatnia, trzecia linia kierunkowa dla naszej pracy na zimę:—musimy wykorzystać obecność naszego wojska w W. Brytanii dla uświadomienia miejscowego społeczeństwa o tym, czym jest Polska i jakie są nasze, żeby się tak wyrazić—cele wojenne i konieczności powojenne. Obecność tych tysięcy ludzi, którzy mają dziesiątki tysięcy znajomych—musi być wykorzystana. Opinia publiczna w W. Brytanii jest olbrzymią potęgą. Tę opinię publiczną trzeba zdobywać. Tu otwiera się szerokie pole do pracy właśnie w zimie. Chętnym, a będzie wielu—trzeba pomóc. Wszędzie trzeba postarać się o zacieśnienie i pogłębienie kontaktów ze społeczeństwem, które obecnie mają zbyt jednostronny charakter.

Każde z poruszonych zagadnień wymagałoby szerszego omówienia. Streszczając, ograniczymy się do stwierdzenia—"zbrojne bezrobocie" nie jest ani zjawiskiem specyficznie polskim, ani nie może podważyć wartości naszej siły pod warunkiem, że czas wolny wypełnimy realną, wartościową treścią. Czas pomyśleć o racjonalnym zorganizowaniu życia wojska na zimę, by z "leży zimowych" w Szkocji wojsko nasze ruszyło do boju silne materialnie i moralnie, a każdy żołnierz wrócił do Polski —lepszym obywatelem i pracownikiem.

Jerzy Żmigrodzki



rys. Artur Horowicz

Szkic sytuacyjny

FRONT ROSYJSKI

Kampania na Wschodzie dobiega trzeciego miesiąca. Walki toczą się dalej z niezmienną gwałtownością, jakby powiedział wzorowy komunikat wojenny.

Leningrad, chociaż ujęty w cęgi armii niemieckich i fińskich, broni się i nic nie wskazuje na to, ażeby obrona tego olbrzymiego miasta i ważnego ośrodka, miała się załamać. Marsz na *Moskwę* nie wykazuje żadnych nowych elementów. *Kijów* jest może nieco więcej zagrożony, ale obrona jego trzyma się. Broni się także *Odessa*. Niemcy nie sforsowali—poza Kromenczugiem—przepraw na *lewy brzeg Dniepru*, a sami przyznają, że Budienny usiłuje powrócić na brzeg prawy.

Są to wyniki zastanawiające. Niemieckie dowództwo naczelne próbuje już dzisiaj rozgłosić na cały świat, że kampania wschodnia zakończona zostanie przed nastaniem prawdziwej zimy, a więc około 15-ego listopada. Równocześnie jednak przypomina się, że wojska niemieckie operowały w czasie wojny ostatniej w zimie i że odnosiły sukcesy. Widać, że dowództwo niemieckie woli mieć w odwodzie *zimę*.

LEKCJE KAMPANII

Okazuje się dzisiaj, że niemiecki "Blitzkrieg" *nie* rozwiązał ani w czasie, ani w przestrzeni zagadnienia *podboju kontynentu*, jakim jest Rosja, chociaż rozwiązał zdumiewająco nieraz szybko i sprawnie zagadnienie podboju poszczególnych krajów europejskich. Jest rzeczą jasną, że kampania niemiecka musiała porzucić *plan polityczny*, który polegał na ciosie w Moskwę, jako w ośrodek Kominternu i systemu i że przeszła na kampanię czystej krwi *militarną*. Jest również jasne, że Niemcy muszą się uczyć na terenie Rosji nowego rzemiosła wojny o charakterze, rzec by się chciało, *mieszanym*, a więc *zaczepno-odpornej*, wojny, gdzie wielkie masy piechoty wchodzą jednak w grę w stopniu nie oglądanym ani w Polsce ani we Francji.

Niemcy dokonują w Rosji rzeczy grożących wytrzymałości każdej armii, nawet najlepszej na świecie. Cała maszyna niemiecka poci się i mozoli na przestrzeniach Rosji. Trzeba przestawiać koleje szerokotorowe na wąskotorowe i armia niemiecka czyni to, zaprzęgając do roboty robotników włoskich. Każde nowe stanowisko zdobyte na Rosjanach Niemcy natychmiast umacniają i Timoszenko w atakach, jakie przypuścił w centrum stwierdził, że Niemcy ufortyfikowali się niebywale szybko w rozlicznych, co dopiero zdobytych punktach.

Straty niemieckie w sprzęcie są napewno *olbrzymie*, chodzi tylko o to, jak Niemcy zdołają te straty *wyrównać*. Obserwatorzy angielscy przyznają, że przeciwnik zdoła wyrównać braki i straty lepiej i szybciej, aniżeli Rosja. Wniosek z tego jasny, że trzeba na gwałt *pomocy w materiale i sprzęcie dla Sowietów*.

POMOC DLA ROSJI

Pomoc ta już idzie. W okolicach Kijowa jest już jeden "*wing*" wysłany przez *RAF*. Przez Iran, który dalej jeszcze nie jest opanowany tak jakby należało przez wojska brytyjskie i sowieckie, płynie struga *samolotów*, głównie *pościgowców*, których Rosjanie potrzebują gwałtownie. Przez Syrię i Irak pójdzie druga struga zaopatrzenia, surowców, samolotów.

Narady w Moskwie rozpoczną się niebawem, a znawcy brytyjscy i amerykańscy powiedzą, co mogą dać. Muszą dać maksimum, albowiem dla Anglii jest rzeczą jasną, iż front sowiecki jest j e j frontem.

Utrzymanie przepływu sprzętu i pomocy przez *cztery* szlaki: Archangielsk, Władywostok, Iran i Syrię—Irak—jest rzeczą zasadniczą.

POKONAĆ RZESZĘ NA LĄDZIE

W społeczeństwie brytyjskim zakorzenia się co raz wyraźniej przekonanie, że dwie bronie, na których Anglia zamierzała się oprzeć w walce z Rzeszą: blokada oraz lotnictwo, *nie są* wystarczające dla pokonania Niemiec.

Blokada tej wojny jest mniej skuteczna, aniżeli w wojnie ostatniej a jak niedawno powiedział prezydent Roosevelt "nie ma blokady zupełnie szczelnej."

Broń lotnicza, chociaż straszliwie groźna dla spojeń narodów i państw, nie jest jeszcze *samodzielna*. Może ona porazić wiele ośrodków żywotnych, może złamać i skruszyć niejedno, ale nie potrafi *rozstrzygnąć* o kampanii. Rzesza posiada dalej swoje miliony pod bronią, rozłożyła się na olbrzymich przestrzeniach *od Pirenejów aż po pagóry Wajdału i Dniepr*. Trzeba się dobrać do siły Rzeszy n a l ą d z i e.

Dlatego też w Anglii zaczyna się rozumieć wagę frontu sowieckiego, dlatego powiada się dzisiaj, że od losów tego frontu zależy *wiele*, może wszystko. Dlatego pragnie się podnieść pomoc dla Rosji do najwyższego poziomu.

Jest to słuszne obudzenie się trzeźwego realizmu; złamanie maszyny wojennej Rzeszy musi odbyć się *na lądzie*, Niemcy muszą być złamane w swojej najsilniejszej ostoi, w swoim najmocniejszym atucie—*armii lądowej*.

FRONT ATLANTYCKI

Na Atlantyku pocieszającym zjawiskiem jest *spadek strat w żegludze* brytyjskiej i sprzymierzonej. Tym samym przepływ materiału i sprzętu z USA do Anglii, dostawy surowców i żywności, jest normalniejszy. Pocieszający jest także fakt, że konwoje amerykańskie są tak jakby już faktem dokonanym i że Stany Zjd. nie zawahają się "*shoot at sight*"—strzelać na widok nieprzyjaciela.

Oczywiście, bój o Atlantyk nie jest zjawiskiem przemijającym. Wygrywanie jego to trud miesięcy, jeżeli nie lat. Anglia wie, że około 200 nieprzyjacielskich łodzi podwodnych krzątało się po Atlantyku. Anglia wie, że operacje wschodnie odciągnęły chwilowo siły niemieckie, ale że U-Booty powrócą. Dlatego też bitwę o Atlantyk planuje się na daleką metę. Dlatego też buduje się jednostki w stoczniach amerykańskich, kanadyjskich, brytyjskich.

PRZEWAGA SPRZĘTU I PRODUKCJI

Wysłannik amerykański, Biggers, który spełnia w Londynie zadanie tzw. "*coordinator*," czyli uzgadniacza planu produkcji obu krajów, powiedział niedawno, że dopiero w lecie 1943 Stany Zjd, i W. Brytania osiągną przewagę produkcji sprzętu wojennego nad Rzeszą i że prześcigną wytwórczość wojenną Rzeszy. Jest to ocena słuszna i trzeźwa.

Zgadza się ona z oceną tych, którzy obserwują od lat te sprawy i wiedzą, że uzyskanie przewagi, nawet lotniczej, w tym roku /jak to mówili niektórzy,/ czy nawet na wiosnę przyszłego roku /jak to prorokowali inni/, nie jest możliwe. Dlatego też i data uderzenia na kontynent i rozwinięcia się wielkich akcyj zaczepnych ze strony angielskiej musi być przesunięta na r. 1943.

Dopiero wtedy będzie można mówić o uderzeniu lotniczym na Rzeszę na naprawdę olbrzymią skalę, o bombardowaniu Niemiec przez 24 godziny. Dopiero wtedy dywizje pancerne W. Brytanii, które rosną stale, ale powoli, będą gotowe. Narazie—jak to przewidywaliśmy na tych łamach—możemy dokonywać wypadów o charakterze Lofotów /raid na Spitzbergen/.

LIBIA WINNA SIĘ RUSZYĆ

Główne zainteresowanie skupiać się będzie dalej na froncie rosyjskim i losy tej wojny muszą być śledzone z największą uwagą, albowiem tam właśnie szamoce się maszyna niemiecka na całej niejako linii, w całkowitym, zupełnym zwarciu. Tam armia lądowa, największy atut Rzeszy, robi nadludzkie wysiłki nauczenia się nowego stylu wojny, mieszaniny "blitzu" i wojny pozycyjnej.

Ale nie znaczy to, ażeby był to jedyny front czynny. Zdaje się, że gen. Auchinleck ruszy niebawem na Libię, gdzie Niemcy są dzisiaj bodaj mniej liczni, a Włosi dosyć z tej racji zalęknieni. Bombardowanie lotnicze baz włoskich w Libii, bombardowanie z powietrza konwojów nieprzyjacielskich na Morzu Śródziemnym—wszystko to stanowi *wstęp do ofensywy*. Powinna ona przyjść w pierwszych dniach października.

Do pierwszych dni października Niemcy chcieliby przesądzić los Leningradu i Kijowa. Wynika to wyraźnie z furii uderzeń. Ale od 1-go października musi przyjść osłabienie tempa niemieckiego, albowiem wojna mechaniczna woli mimo wszystko porę wiosny i lata, a unika późnej jesieni oraz zimy. Kampania sowiecka w Finlandii wykazała pewną nieporadność wojny mechanicznej w surowej zimie.

Londyn, 15 września 1941.

Zbigniew Grabowski

Stosunki kulturalne polsko-czeskie w XIX-ym wieku

V.

Nowy okres w życiu Czech rozpoczyna się w r. 1882. Pod naciskiem społeczeństwa na Wiedeń—rząd austriacki ustąpił i w tym roku otworzono w Pradze uniwersytet czeski, obok istniejącego tam uniwersytetu niemieckiego. Warto podkreślić, że ten niemiecki uniwersytet występował nieprawnie jako kontynuator uniwersytetu Karola, założonego w r. 1348, najstarszej uczelni wyższej w Europie środkowej.

Oczywiście rząd austriacki, zgadzając się na otwarcie uniwersytetu czeskiego, bynajmniej nie pragnął, aby stał się on ogniskiem patriotyzmu. Starał się też to osiągnąć przez odpowiednie obsadzenie katedr. Wykorzystał przy tym tę sposobność, aby do społeczeństwa czeskiego wprowadzić ludzi, którzy inaczej by się tam nie dostali. A cel ten udało mu się osiągnąć o tyle, że wkrótce potem dochodzi do zawziętych ataków tych nowych ludzi przeciwko starym, co ostatecznie zakończyło się zwycięstwem nowych.

Ataki te prowadzono pod hasłem walki z zaściankowością Pragi i społeczeństwa czeskiego oraz pod hasłem jej europeizacji, przez wysunięcie haseł humanitaryzmu i demokracji, nie uznającej przesądów narodowościowych i tradycyjnych oraz domagając się dostosowania życia czeskiego do rzeczywistości. Jak to dostosowywanie w praktyce życia wyglądało, świadczy choćby to, że ci postępowcy zrobili wyłom w tak zwanym legaliźmie czeskim. Legalizm ten polegał na tym, że posłowie czescy do parlamentu wiedeńskiego na początku kadencji składali oświadczenie, że oni, jako członkowie sejmu czeskiego, powinni obradować w Pradze, a nie w Wiedniu oraz że jedynie konieczność zmusza ich do wzięcia udziału w obradach parlamentu wiedeńskiego. Otóż czescy posłowie postępowi zaniechali składania tego rodzaju protestu, w myśl zasady dostosowywania się do rzeczywistości.

Ten okres dziejów czeskich, trwający właściwie do chwili obecnej, jeśli chodzi o jego przewodnie myśli polityczne, był bodaj najmniej korzystny dla stosunków czesko-polskich. Nadzieje pomocy rosyjskiej na tle haseł ogólnosłowiańskich odsunęły Czechów ostatecznie od sprawy polskiej. Nie tylko wytykano Polakom, że nie chcą pogodzić się z Rosją, ale nawet zaczęto stawiać im zarzuty z tego powodu, jakoby uciskali Ukraińców oraz Kaszubów.

Wówczas też utarło się przekonanie, że Polacy właściwie nie są Słowianami, ponieważ nie prowadzą polityki "słowiańskiej." Przekonanie to miało charakter całkowitej dyskwalifikacji Polski w opinii czeskiej. Te nastroje zostały jeszcze bardziej pogłębione, kiedy podczas pierwszej wojny światowej Czesi całkowicie stanęli po stronie rosyjskiej, podczas gdy część Polaków walczyła przeciw Rosji.

W tym czasie doszło do szczytu także napięcie w sprawie Śląska Cieszyńskiego. Po odkryciu olbrzymich bogactw i przy szybkim rozwoju przemysłu przybywała na Śląsk ogromna ilość ludności napływowej z krajów okolicznych. Dochodziło do tego, że w niektórych miejscowościach 70% mieszkańców tworzyła ludność napływowa. Jeśli chodzi o jej skład społeczny, to Polacy stanowili w swej masie element robotniczy, nieuświadomiony, złożony przeważnie z analfabetów. Ci robotnicy byli ogromnie ulegli różnym wpływom agitacji politycznej, wpływom germanizacyjnym i czechizacyjnym.

Właśnie ta łatwość przeciągania na różne strony nieuświadomionych mas robotników polskich przyczyniła się do powstania sporu o Śląsk. Ze strony czeskiej na Śląsk szedł element mniej liczny, ale za to silniejszy społecznie, stojący mniej więcej na stanowisku majstra. Niemcy natomiast posiadali w swych rękach kapitał i stanowiska kierownicze, co też wykorzystywali do siania zamętu.

Spis ludności w r. 1880 odbył się na Śląsku w atmosferze spokojnej. Ale kiedy rząd austriacki zaczął obsadzać miejscowe szkoły i parafie Polakami, Czechami lub Niemcami—zależnie od wyników spisu—doprowadziło to do silnych walk wewnętrznych, których napięcie wzrastało do maksimum przy następnych spisach, odbywających się co dziesięć lat.

W takich warunkach, kiedy jeszcze do walk na Śląsku zaczęło się mieszać całe społeczeństwo polskie i czeskie, nie mogło być mowy o jakichś pozytywnych stosunkach pomiędzy obydwoma narodami. Apostołami sympatii były już tylko nieliczne jednostki, które nie miały zresztą żadnego wpływu na opinię społeczną.

Należy tutaj wymienić przede wszystkim Edwarda Jelinka, jednego z najżarliwszych przyjaciół Polski w historii Czech oraz Adolfa Černego, tłumacza poezji polskiej na język czeski. Tłumaczył przeważnie poetów sobie współczesnych, a z arcydzieł przetłumaczył /już później zresztą/ "Króla Ducha" Słowackiego.

Kulturalne stosunki polsko-czeskie były żywe właściwie tylko do okresu powstania listopadowego. Potem rwą się co raz bardziej i co raz częściej mają one tło polityczne, czy społeczne, niż czysto kulturalne. Co prawda w Czechach Sienkiewicz stał się pisarzem znanym powszechnie, a inni jak np. Asnyk, Przybyszewski, Orzeszkowa, Tetmajer mieli okresy swej popularności, ale w żadnym wypadku nie można mówić o jakiejś ciągłości, czy o wzajemnej wymianie systematycznej osiągnięć kulturalnych.

Po stronie polskiej kultura czeska jest jeszcze mniej znana, a nawet jej czołowe pozycje nie dochodzą do wiadomości ogółu. Jeśli nawet Przesmycki, czy inni zajmują się w młodości bliższym poznawaniem kultury czeskiej, to jednak potem zainteresowania i tym przedmiotem słabną. Nie było po stronie polskiej ani takich idealistów jak Jelinek, ani ludzi o takiej wiedzy jak Černy, ani takich tłumaczy jak Kvapil. Natomiast kwasy polityczne, a szczególnie odmienny stosunek do Rosji, ciążył co raz bardziej na wzajemnych stosunkach.

Tragedią polsko-czeskich stosunków było to, że oba narody, cierpiące w niewoli, zużywały wiele sił na walkę z ciemięzcami. A przy tym znajdowały się w sytuacji przymusowej, która częściej stawiała ich w obozach przeciwnych, niż obok siebie.

W chwili, kiedy oba narody postanowiły na przyszłość żyć w zgodzie i zrozumieniu wzajemnym, należy zdać sobie sprawę z tego, dlaczego nie było tak dotychczas. Trzeba znaleźć przyczyny takiego stanu i rozważyć rozwój zagadnień. W ten sposób tylko się zrozumiemy i będziemy mogli uniknąć swarów w przyszłości.

Wiek XIX-y jest kluczem do takiego zrozumienia. Jego dziedzictwo pojęte mechanicznie, jako pewien istniejący stan rzeczy, wywierało tak silny wpływ na stosunki polsko-czechosłowackie, że oba te państwa nawet po odzyskaniu niepodległości politycznej nie mogły się pogodzić, nie mogły znaleźć wspólnej drogi ani żadnej pozytywnej koncepcji politycznej, którąby ułatwiła porozumienie. Obciążeni dziedzicznie przez wiek XIX-y, kręciliśmy się w jakimś błędnym kole bez wyjścia. Dziś trzeba zerwać zasłonę z tajemnic XIX-ego wieku, aby móc usunąć to wszystko, co wtedy nas rozdzieliło.

Z tą myślą został napisany powyższy szkic, którego celem było zaznaczenie tylko najważniejszych zagadnień, które miały wpływ na rozwój stosunków polsko-czeskich w XIX wieku.

Jan Miszewski

Por. nr. 19, 20, 21 i 37 "Polski Walczącej."

WIERSZE O LIŚCIACH

ZIELONE MIASTO

Kraków cały jest w liściach,
błyszczących po letnim deszczu,
—podwójnie zielonych w księżycu
i w szmaragdowej latarni
wiszącej przy Zwierzynieckiej . . .

Kraków, cienisty ogrojec . . .
Jaśminów gąszcz, las kasztanów,
inwazja drzew. Ptaków—roje!

W tym lesie—szepty tajemne,
w tym lesie łzy, pocałunki,
zduszone w objęciach westchnienia . . .
—gromkie echo komendy niemieckiej.

ŁODZIE BEZ WIOSEŁ

O tej porze, akacjowe strąki
spadają i płyną z wiatrem,
jak łódki na morzu rozłąki . . .

Bez trwogi unosić się dają
podmuchom jesiennej burzy . . .
—Jak one, wierzyć musimy
w celowość naszych podróży;
W ten wiatr co nas targa i ciągnie,
i w przyszły obraz osiągnięć,
akacjowym podobny rajom . . .

"...LECI LIŚCIE Z DRZEWA"

Nikt tak wiele nie pisał o liściach,
Szronem zwarzonych, jesiennych,
Jak my wszyscy, uparcie, co roku . . .

Gdyż zbierały się chmury, w nich łzy,
Dąb nasz wiedział, że schnie i żółknie.

Czuliśmy, że będziemy jak tułacze liście
Zmrożone w każdym swym włóknie . . .

TEJ JESIENI

A tymczasem, kasztanowe liście
szukają nas wkoło jak ślepcy,
—i westchnienia słychać i szepty;

"Wróciliście?
—nie wróciliście?"—

Maria Pawlikowska

Japonia wczorajsza i dzisiejsza (III)

Wanatabe-San zdobywa Chiny

7 lipca 1937 Japonia rozpoczęła t. zw. "incydent chiński." W Tokio panował entuzjazm. Ulicami przeciągały tłumy powiewające białymi chorągwiami z czerwoną tarczą Wschodzącego Słońca. Nocą eskadry ciężkich bombowców japońskich poszły w powietrze i po paru godzinach Nankin drżał od grzmotu i dudnienia japońskich bomb. Przez Morze Żółte tymczasem szły w kierunku wybrzeży chińskich setki szarych wojennych transportowców japońskich. Wśród drugorzędnych sztabowców japońskich, doskonałych oficerów liniowych i jeszcze lepszych żołnierzy, wyposażonych w tandetny sprzęt, wśród marynarzy, słowem w sercu całej Japonii panowała radość nareszcie spełnionych marzeń: Wanatabe-San, ucieleśnienie "boskiej rasy Jamato" wyruszał na zdobycie kontynentalnego imperium. To już nie Mandżukuo, zimny niegościnny kraj, zajęty podstępem i rządzony zza parawana, to nie Korea, zamglony kraj Spokojnego Poranka. Japonii teraz przypadnie w udziale największy kraj na świecie, ojczyzna milionów i milionów przyszłych janczarów. Parę lat, ostatni wielki wysiłek Japonii, a żółte, nieprzeliczone milionowe armie pod dowództwem japońskich generałów, wyruszą na podbój świata.

Tak wyglądały marzenia. Przeszły cztery lata jednak od tego czasu i rzeczywistość nie przypomina wciąż jeszcze bohaterskich scen ludowego teatru, gdzie to niezwyciężony wódz wraca po ostatnim, najwyższym pogromie wrogów między papierowe ściany swojego domostwa i pisze wzruszający poemat o kwiecie wiśni, względnie płata sobie brzuch z bliżej niewyjaśnionych powodów.

Chiński poeta i moralista Lin Yutang, zapytał przed paru miesiącami, jak to się stało, że po nieprzerwanym pasmie zwycięstw, Japończycy w przeciągu ostatnich dwóch i pół lat zdołali posunąć się zaledwie o 250 mil i to tylko w dwu punktach?

Najbardziej ogólnikową odpowiedzią było by stwierdzenie, że Wanatabe-San zadławił się zdobyczą. Chiny okazały się zbyt wielkie, nie tyle na jego apetyty, co na możliwości chłonne i zdolności trawienne. Wytłumaczenie to wymaga jednak szeregu omówień i wyjaśnień.

W pierwsszym okresie aż do jesieni 1938-go roku Japończycy szli niepowstrzymanie na przód. Kolejne stolice Chin: Nankin i Hankow dostały się w ich ręce oraz wszystkie ważniejsze porty: Szanghai, Ningpo, Fuczau, Amoy, Swatow, Kanton i Haipong. Chińska marynarka wojenna za republiki była zbiorem rupieci i nie było się czym bronić. Od morza obszar okupacji japońskiej rozszerzał się co raz bardziej, aż wreszcie natknął się na poszarpane pagórzyste łańcuchy Chin Środkowych i tam się zatrzymał.

Od pierwszej chwili Japończycy pragnęli zniszczyć ośrodek dyspozycji oporu chińskiego. Tak długo jak kanonierki i kontrtorpedowce japońskie mogły swobodnie płynąć w górę głównej magistrali wodnej Chin Yangtsekiangu, zadanie to było względnie łatwe. Nankin i Hankow leżą nad jej brzegami a Czangkaiszek," "generalissimus" Chin nie posiadał i nie posiada ani marynarki ani lotnictwa dla obrony szlaków wodnych. Powyżej Hankow jednak Yangtse, aż do tego miejsca od ujścia leniwe i głębokie rozlewisko, przedziera się przez szeregi wysokich, niedostępnych gór, tworząc wiry i porohy, uniemożliwiając jakąkolwiek regularną żeglugę.

W porohach nadbrzeżnych dowództwo chińskie pobudowało szereg stanowisk karabinów maszynowych i betonowych gniazd oporu, pokryło ogniem moździerzy wszystkie możliwe, nawiasem mówiąc bardzo nieliczne ścieżki i przejścia. Przejść tych koło miasta Iczang i rzeki Yangtse strzegą najlepsze oddziały armii chińskiej, między innymi "Czcigodna Pierwsza Dywizja" uznana za najwaleczniejszą jednostkę z pośród około 3 milionów żołnierzy chińskich walczących przeciw wojskom japońskim /800 tysięcy/ zgrupowanych w około 300 źle uzbrojonych dywizji.

Porohy Yangtsekiangu są niezwykle ważne dla Chińczyków. One bowiem strzegą lepiej, aniżeli nawet "Czcigodna Pierwsza Dywizja" obecnej stolicy Chin, Czunkingu, która poza tym jest węzłowym skrzyżowaniem t.zw. drogi burmańskiej, dowożącej od Rangoonu przez Kunming i Czungkiang broń i amunicję dla Chin. Japończycy starają się za wszelką cenę przerwać ją, ale tak długo jak "okręg wojenny No. 6," (tak w oficjalnej terminologii chińskiej nazywa się naturalna forteca nadrzeczna) się trzyma, tak długo wysiłki japońskie z konieczności muszą ograniczyć się do bombardowania czasowej stolicy Chin, często przez kilka dni i nocy bez przerwy, i drogi burmańskiej, którą natychmiast naprawiają specjalne oddziały robotników.

Japońska artyleria grzmi pod Iczangiem prawie bez przerwy i bez odpowiedzi, gdyż armia chińska w ogóle nie rozporządza tym rodzajem broni, poza tym jednak na tym froncie, bronionym przez najwybitniejszego z generałów chińskich Chin-Chenga manewrów i bojów spotkaniowych nie ma. Japończycy zdają sobie sprawę, iż atak bezpośredni byłby niezwykle kosztowną operacją, z góry skazaną na niepowodzenie, gdyż na tym terenie nie można rozwinąć broni pancernej a lotnictwo nie wiele szkodzi pochowanym i głęboko wkopanym w skały Chińczykom.

Na pozostałych odcinkach, "okręgach wojennych", operacje zato trwają bez przerwy nieomal od wybuchu zatargu. Od północy licząc "okręgiem wojennym No. 1" jest odcinek na zachód od Nankinu, opierający się lewym skrzydłem na Rzece Żółtej. Na północo-zachód od niego, przekraczając Rzekę Żółtą i w oparciu o prowincję Sian jest "okręg wojenny No. 2." "Okręg wojenny No. 3" nie istnieje w chwili obecnej, gdyż taką nazwę nosiła obrona Szanghaju. "Okręg wojenny N. 5" broni dostępu do północnych brzegów Yangtsekiangu i z grubsza leży naprzeciw Hankow, jednej z czasowych stolic Chin. Wreszcie front południowy, jeden z najważniejszych, bo broniący drogi burmańskiej, tworzą oddziały, które broniły portu Hiapong i zostały zepchnięte w głąb kraju przez desant japoński.

Oczywiście nie należy sobie wyobrażać, żeby wspomniane okręgi wojenne, chyba za wyjątkiem umocnionych pozycji pod Iczangiem, tworzyły jakąś stałą linię frontu. Przeważnie wygląda to tak, iż kilka dywizji japońskich bazujących się na jakimś porcie rozpoczyna operację zakrojoną na skromną skalę, jeżeli weźmie się pod uwagę 2,900,000 mil kwadratowych terytorium chińskiego. Wojska chińskie cofają się, Japończycy po pewnym czasie wynoszą się z powrotem do bazy i wszystko jest tak, jak przedtem. W miarę przewlekania się "incydentu" i niemożności politycznego rozwiązania, co jak się zdaje było głównym celem japońskiego sztabu, kolejno zmieniający się szefowie sztabu generalnego w Tokio i na miejscu, oraz eksperci od spraw chińskich z Doiharą, japońskim "Lawrencem" na czele, doradzają decydującą rozgrywkę, wprowadzenie do akcji dalszych setek tysięcy wojsk, zaangażowanych gdzie indziej i ostateczne zadławienie Czangkaiszeka.

Jak się zdaje, ostatnio Japończycy przedsięwzięli kroki w tym kierunku. Na wypadek upadku, względnie zatkania kanału Suezkiego najlepsze lądowe wojska japońskie: dywizja Konoye gwardii cesarskiej i "Zawsze-Zwycięska-Piąta-Dywizja," która nie poniosła ani jednej porażki od zawiązania jej w 1903-im roku zostaną przesunięte na południe, do Indochin i stamtąd uderzą w kierunku Kunmingu i będą usiłowały przeciąć drogę burmańską.

Plan skończenia z Chinami powstał w głowie generała Igataki, obecnego szefa sztabu generalnego, z tego też względu nie bardzo należy liczyć na powodzenie tego planu. Jak dotąd bowiem, jego próby przechylenia szali zwycięstwa na stronę japońską: marcowa ofensywa w Honan i majowa w południowym Szansi zakończyły się jałowym sukcesem strategicznym. przesunięciem się na przód i wycofaniem oraz rozpłynięciem się chińskich dywizji umundurowanych. Nie rozwiązało to jednak sytuacji w żadnym stopniu i nie przybliżyło końca woiny.

Tymczasem zarówno sytuacja wewnątrz kraju jak i międzynarodowe stanowisko Japonii wciągniętej do sprzysiężenia Osi domaga się jak najprędszego załatwienia "incydentu" po tamtej stronie Morza Żółtego. Gospodarka Japonii przedstawia sie opłakanie. Ryż, zasadnicze pożywienie całej ludności wydawany jest na kartki, dni bezmięsne są nakazem patriotyzmu a zresztą poza mięsem wielorybim, mało pożywnym i pełnym bąbli powietrznych, w ogóle mięsa w Japonii nie można dostać, na kartki czy bez kartek. Sacharyna zastąpiła cukier prawie wszechstronnie, tam nawet gdzie sacharyny nie stosuje się w ogóle. Co raz mniejsza ilość papierosów jest może najboleśniejszym zjawiskiem dla Japończyków. Alkohol, nawet narodowa wódka ryżowa "sake" niemal znikła z obiegu.

Nie tylko w jedzeniu Wanatabe-San, ten przynajmniej co nie siedzi na froncie musi się ograniczać. Brakuje brzytew i nożyków do golenia, węgla drzewnego, nieodzownego przy ciągłych kąpielach, i szeregu innych drobiazgów. Zużycie benzyny dla celów prywatnych jest prawie całkowicie ograniczone, tak samo zużycie prądu elektrycznego. Słynne japońskie fabryki tekstylne wyrabiają zaledwie 40% produkcji przedwojennej a materiał, jaki wypuszczają jest w bardzo złym gatunku, z przerobionej masy drzewnej, kurczy się po deszczu, drze po kilkakrotnym praniu i jest bardzo nieprzyjemny w dotknięciu.

Wreszcie ostatni powód do smutku i przygnębienia. Japończycy mają dziwną skłonność do samobójstw i śmierć często jest ich jedynym pocieszycielem. Wieszają się i płatają brzuchy admirałowie, kasjerzy bankowi i gejsze. Mimo to wzrastający obrót białymi skrzynkami wysyłanymi przez dowództwo wojsk w Chinach do domu z popiołem ojców, synów i mężów setek tysięcy kobiet japońskich, poległych w niezupełnie zrozumiałej dla nich wojnie, nie może dodatnio wpłynąć na morale narodowe. Japończycy mimo wszystko są ludźmi i w żaden sposób nie można ich przekonać, iż "boskie posłannictwo rasy Jamato" wymaga nowej wojny o światowym zasięgu wówczas, kiedy "incydent" nie tylko, że nie został zakończony, ale wydaje się, że będzie trwał wiecznie. Oczywiście, nie dotyczy to fanatycznych nacjonalistów, wyznawców skrajnie patriotycznych zasad i pragnących panowania nad światem, czyli warstwy rządzącej cesarstwem Wschodzącego Słońca w chwili obecnej.

Tymczasem wróg—400 milionowe Chiny budzą się ze stuletniego snu i stawiają co raz bardziej zaciekły opór.

Czangkaiszek nie szukał chwały wojennej. Nie miał zresztą ani powodu, ani możliwości po temu. Chiny bowiem w chwili najazdu japońskiego zaledwie zaczęły wynurzać się z długiego okresu chaosu, bratobójczych walk generałów rządzących pod tym czy innym płaszczykiem obszernymi prowincjami, wpływów sowieckich, japońskich, europejskich i amerykańskich, stałego kurczenia się nominalnej suwerenności olbrzymich obszarów dawnego Cesarstwa Niebieskiego.

Zresztą opanowanie władzy w przeważnej części Chin przez partię nacjonalistyczną czyli Kuomintang, co w praktyce było synonimem Czangkaiszeka, nie oznaczało bynajmniej jedności kraju. Na południu, w Kantonie rządzili komuniści, na północy prowincje "generalskie" były w dalszym ciągu niepodległymi prowincjami przeróżnych generałów i miejscem przetargu ofert sowieckich i japońskich. Jeszcze w roku 1935 "marszałek" Czang-Tsue-Liang porwał Czangkaiszeka i wypuścił go dopiero po uroczystym zobowiązaniu wystąpienia przeciwko Japonii.

Armia chińska nie miała zbyt wielu wojskowych mimo, iż w przejściowym okresie republikańskim wszystko należało do generałów. W pierwszych latach panowania Sun-Yat-Sena, ojca republiki, założono w Paotingu akademię wojskową, skąd wywodzi się znaczna część obecnych dowódców dywizji, a z chwilą zagarnięcia wpływów przez Kuomintang i przy wydatnej pomocy agentów sowieckich, a przede wszystkim tajemniczego Galena-Bluechera powstała szkoła wojskowa w Whampoa. Pozostali oficerowie byli samorodnymi talentami, którzy w polu dopiero uczyli się sztuki dowodzenia. Była to dobra szkoła i dziś wojska chińskie, jak nikt chyba na świecie, potrafią bezszelestnie przeprowadzać koncentracje, wsiąkać w teren przed przewagą nowoczesnej broni pancernej i wyrastać między nią a postępującą z tyłu piechotą.

Osobna wzmianka należy się wojskom komunistycznym t.zw. Nowej Czwartej Armii i 18 Grupie armii (dwie dywizje). Nie podlegają one Czangkaiszekowi, chociaż współpracują z nim, walcząc na tyłach japońskich w porozumieniu z nim. Są to siły zbrojne Rewolucyjnego Wojennego Komitetu Chińskiej Partii Komunistycznej i liczą około 40,000 doskonałego żołnierza, wyszkolonego wedle wzorów sowieckich i około 250,000 oddziałów nieregularnych.

Lotnictwo chińskie, szkolone bardzo starannie przez instruktorów amerykańskich, sowieckich i brytyjskich wykruszyło się w pierwszym okresie wojny. Dziś ilość lotników chińskich nie zmniejszyła się wprawdzie, bo szkolenie trwa mimo trudności, ale cierpią oni na chroniczny brak maszyn. Z chwilą, kiedy wojska chińskie zostały wyparte z uprzemysłowionych ośrodków nadbrzeżnych, przemysł lotniczy zaczął pracować metodą chałupniczą. W miarę wycofywania się wojsk rozmontowywano narzędzia i przetransportowywano w górę rzeki, ruch bowiem wojsk odbywał się przeważnie w niedalekiej odległości od Yangtsekiangu, poczem montowano i produkowano dwa czy trzy myśliwce, koncesji amerykańskiej firmy Curtiss-Wright. Lotnicy natychmiast je zabierali z prowizorycznych lądowisk, a fabryka przenosiła się dalej. Z chwilą, kiedy Japończycy dowiedzieli się o tym systemie i rozpoczęli systematyczne bombardowanie wszystkich większych budynków, przeniesiono produkcję dosłownie "pod strzechy." Rozbito jednostki produkcyjne na szereg drobnych grupek i produkowano samoloty sposobem chałupniczym, składając je w przeciągu kilku godzin, po nalotach, kiedy niebezpieczeństwo grożące ze strony Japończyków było mniejsze. Stopniowo jednak surowce i półfabrykaty wyczerpywały się, wreszcie jako jedyne źródło pozostała droga burmańska.

Podobnego systemu nie można było jednak zastosować przy produkcji ciężkiego przemysłu wojennego: czołgów, samochodów pancernych i artylerii, a to nawet nie z powodu braku przemyślności chińskich inżynierów, ale dla niemożności uzyskania surowców. Chiny dziś bowiem produkują, przy bardzo bogatych złożach kopalnianych, zaledwie około 3,000 ton miedzi rocznie i około 100,000 ton stali. Dla porównania można wspomnieć, iż podczas ubiegłej wojny światowej w bitwie pod Paschendaele na odcinku 10 mil zużyto 88,000 ton miedzi i stali podczas 10 dni a np. produkcja stali w chwili obecnej wynosi w Stanach Zjednoczonych /1940/ 66,500,000 ton rocznie. Okruchy surowca w Chinach zamieniają się w błyskawicznym tempie w karabiny ręczne i maszynowe oraz moździerze. Na artylerię Chiny nie mogą sobie pozwolić.

Jakiekolwiek były winy Czangkaiszeka, a było ich dużo, okazał on, iż posiada najważniejszą, istotną cechę męża stanu—nieugięty charakter. Gospodarczo Chiny są ruiną, wojskowo piętnastowieczną armią walczącą z czołgami i samolotami, społecznie wojna japońska pozostawi blizny na dziesiątki i setki lat, póki nie zniknie pamięć mordów, szpiegów, skrytobójstw i zdrajców pleniących się dziś w Chinach. I mimo wszystko, mimo iż ryż na czarnej giełdzie w Czunkingu kosztuje 30 razy więcej, aniżeli urzędowa jego cena, mimo iż zimowy płaszcz, jeżeli się go znajdzie w handlu, pociąga za sobą wydatek trzymiesięcznej pensji generała chińskiego—chwała i nadzieja zwycięstwa jest przy nieugiętym rządzie chińskim, urzędującym w podziemiach swojej rozbitej stolicy, i przy jego szefie a nie po stronie ponurych generałów japońskich, zapatrzonych w imperialistyczny miraż i odnoszących papierowe, dęte zwycięstwa.

Tak, jak to dziś wgląda—Wanatabe-San szpetnie ugrzązł w żółtych, zakurzonych obszarach Chin u samego startu na podbój świata.

Marian Synkowski

Por. poprzednie artykuły tego cyklu: "Wanatabe-San mieszka zamknięty na wyspach," druk. w nr. 33, "Wanatabe-San wyrusza na podbój świata," druk w nr. 34 "Polski Walczącej."

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1—10 IX. 1941 r.

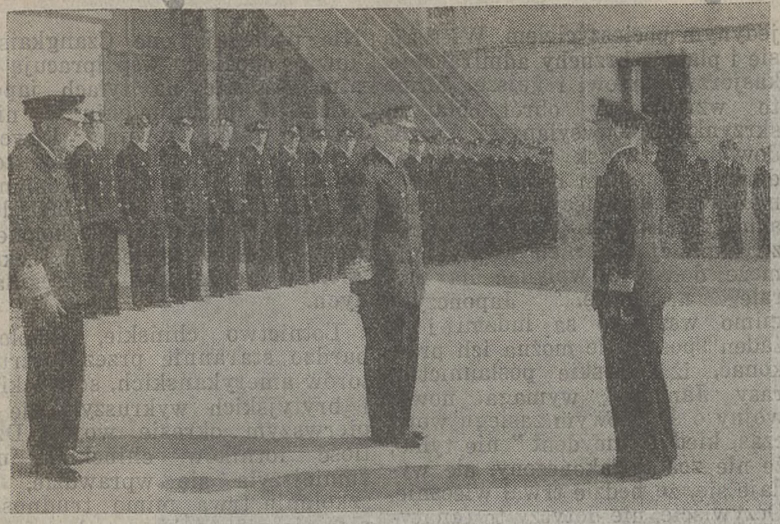
Lotnictwo myśliwskie		Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:		Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych	— 2	6	20
uszkodzonych	— 1		
prawdopodobnych	— 1	Główne cele: Boulogne, Frankfurt n/Menem.	

Razem od czasu przybycia do Anglii do 10.IX.41r.

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela:		Ilość wypraw:	Łączna ilość samolotów:
pewnych	— 351	232	1046
prawdopodobnych	— 95		
uszkodzonych	— 43		
	489		

Trzy spotkania

/O Szkole Podchorążych Marynarki Wojennej/



Komendant Szkoły składa raport Szefowi Kierownictwa Polskiej Marynarki Wojennej vice-admirałowi J. Świrskiemu. Z lewej strony brytyjski admirał N. Forbes, dowódca płd-wsch. Okręgu Morskiego

Był wietrzny, choć pełen słońca, dzień majowy 1939 roku. Trzymasztowy szkuner szkolny Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej "Iskra" stał przy nabrzeżu portu wojennego na Oksywiu. Z przepustkami w ręku dojechaliśmy samochodem transmisyjnym Rozgłośni Pomorskiej Polskiego Radia aż pod samą burtę okrętu, poprzez tory kolejowe i niewyrównane jeszcze molo budujących się ulic portowych. "Iskra" świeciła w słońcu białą farbą i nieskazitelną czystością pokładu.

—Więc, jak panowie sobie życzą?—troskał się sam dowódca okrętu kmdr.-ppor. U.—Co mamy "zrobić takiego" do tego nagrywania?

—Nic specjalnego, panie komandorze — objaśnialiśmy — nagramy na płyty wywiad z panem komandorem i jakiś manewr.

—Manewr?! . . . Gdzież ja będę tutaj odcumowywał? . . . Wszystko przygotowane do jutrzejszej uroczystości pożegnania nas i . . . jutro będę robił manewry okrętem.

—Ale można zrobić manewr "na niby." Chodzi przecież tylko o nagranie komend, dźwięków, tupotu butów i głosów załogi.

—O, przepraszam, na "Iskrze" każdy manewr wykonywany jest w zupełnej ciszy. To nie szkuner frachtowy!

Triumfowałem nareszcie! Bo znalazła się nakoniec taka dziedzina, w której marynarze są laikami, słusznie wyśmiewając i gromiąc "szczurów lądowych" za słabą znajomość spraw morskich i naiwne wysławianie się, jeśli chodzi o sprawy okrętowe. Tu zaś trzeba objaśnić co to jest "radiofoniczne," a co nie. Ale gdy raz wytłomaczyliśmy, poszło, jak z płatka. Chłopcy, jak urodzeni aktorzy, wykrzykiwali komendy, tupotali nogami, meldowali i, "manewr" udał się znakomicie. Tylko dowódca kręcił nosem.

—Co tu zgiełku, co tu hałasu—zrzędził.

Po zakończeniu transmisji, "odegraliśmy" z aparatury Neumana i dowódcy i całej załodze "Iskry" ów "manewr nagrany dźwiękowo."

—Słowo daję—ucieszyli się—na płytach wygląda to lepiej, niż w rzeczywistości. Nawet nie jest tak hałaśliwie i, co najważniejsza, z . . . sensem.

I tak powstała przyjaźń moja z tym kursem Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej, który później stał się kursem . . . bojowym. Przyjaźń ta była dla mnie tym głębsza i tym serdeczniejsza, że na kursie był mój, znacznie młodszy, brat stryjeczny. . .

* * *



Vice-adm. Świrski dokonuje aktu mianowania, podając każdemu z podchorążych rękę i wypowiadając słowa "Mianuję Pana, w imieniu Naczelnego Wodza, podch. X podporucznikiem marynarki wojennej."

Rozgłośnia Pomorska Polskiego Radia, nadawała w ciągu maja, czerwca i lipca 1939 roku regularne audycje dla "Iskry," które były częściowo słyszane na okręcie. Przemawiał do mikrofonu Komendant Szkoły, profesorowie, rodzice Podchorążych, nadawaliśmy popularne piosenki i koncerty, a czasami przemawiałem i ja, starając się włożyć w swój głos całą gorącą sympatię i całe zrozumienie dla ich ciekawego, a przecież tak trudnego i twardego życia . . . początku życia.

* * *

I stało się tak dziwnie, że dzień 1 września 1939 roku zaskoczył mnie na pokładzie m/s "Chrobry" w brazylijskim porcie Pernambuko. Wyjechałem w końcu lipca z Polski spokojnie na urlop, ukołysany zapewnieniami "optymistów," że żadnej wojny nie będzie, że wszystkie chmury na horyzoncie europejskim to jedynie "bluff" niemiecki i nic więcej. Toteż nastrój, jaki zastaliśmy w Argentynie, a później w Brazylii, był dla nas prawdziwą niespodzianką.

Do Pernambuko schroniła się wielka liczba statków tak sprzymierzonych /brytyjskich, francuskich i polskich, jak i "osi" /niemieckich i włoskich/. Wypływać z portu nie było bezpiecznie. W pobliżu grasował "pancernik kieszonkowy" "Graf Spee" /myśleliśmy wszyscy, niewiadomo czemu, że to jest "Admiral Scheer"/. Zresztą "Chrobry" nie mógł ruszyć się z Pernambuko i dla tego także, że nie miał żadnych instrukcji, a na własne ryzyko płynąć? . . . Dokąd?

Wieści zaś, odbierane przez radio, były co raz gorsze i gorsze. Wreszcie pięciu z nas zdecydowało się jechać do Polski Walczącej za wszelką cenę . . . I znalazł się mały towarowiec francuski s/s "Fort de Troyon," który nas wziął na pokład i ciemną południową nocą wypłynął do Francji.

Przez pięć długich i ponurych tygodni, w brudzie i ciasnocie płynęliśmy do Francji, odwiedzając po drodze szereg portów afrykańskich /Freetown, Dakar . . ./ Wreszcie dotarliśmy wczesnym rankiem do Casablanki w Maroku, skąd mieliśmy płynąć do Francji już w konwoju. Był to 4 październik, a więc w Polsce było "już po wszystkim." Przygnębienie bez granic ciążyło na duszach naszej piątki. Czuliśmy się na "Fort de Troyon" obco i samotnie.

Zlewałem się właśnie wodą pod prymitywnym prysznicem, gdy zelektryzował mnie okrzyk kolegi Czesława S.:

—Bójcie się Boga, Polskie bandery!!

Wybiegliśmy na pokład, jak kto stał. "Fort de Troyon" przesuwał się właśnie przez wejście do avanportu. W porcie Casablanki tłok był niebywały. Statki i stateczki, okręty i okręty podwodne, a pomiędzy tą masą maleńkie, ale jakże drogie . . . "Iskra" i "Wilia."

Ale po umocowaniu "francuskiego grata" na boi, żandarmeria francuska nie chciała nas wypuścić ani na ląd, ani na nasze okręty. Poprzedniego dnia wyleciał w powietrze wielki, francuski stawiacz min. Zginęło 400 marynarzy, były wielkie szkody w porcie . . . zapewne sabotaż.

—Niestety, rozumiemy, współczujemy, ale nikomu nie wolno opuścić swego statku.

Co było robić? Za pozwoleniem kapitana "Fort de Troyon" wdrapałem się, jak mogłem najwyżej i, przez tubę rozpocząłem wołanie na cały port Casablanki:

—Hallo na "Iskrze," hallo komandor U.! Tu Polacy, Polacy na "Fort de Troyon," hallo na "Iskrze."!

Ku naszej wielkiej radości, zaalarmowawszy cały port, zaalarmowałem również "Iskrę." Białe postacie zaczęły biegać po pokładzie, patrzeć przez lornetki na dość daleko stojący "Fort de Troyon," i po chwili odbiła motorówka od burty "Iskry."

Bielutka, czyściutka motorówka z powiewającą na rufie biało-czerwoną, polską banderą wojenną. W kokpicie siedziało trzech oficerów, a na dziobie z bosakiem w ręku, w postawie "pełnej fasonu," stał, jak zazwyczaj, wyprostowany podchorąży.

Zbiegłem po nieznośnie długim i stromym trapie /mieliśmy mało ładunku i burta statku wznosiła się bardzo wysoko/ . . . Motorówka zbliżała się szybko. Nagle, gwałtowne wzruszenie ścisnęło mnie za gadło. Ów podchorąży, stojący na dziobie z bosakiem w ręku w "fasonowej postawie" to był mój stryjeczny . . . Serdeczny smarkacz. . . !

* * *



Brytyjski Commodore, przedstawiciel sprzymierzonej floty wojennej i w tej chwili już starszy kolega, składa gratulacje nowomianowanym podporucznikom polskiej marynarki wojennej

Dowódca "Iskry" wystarał się w Kapitanacie Portu Casablanka o specjalne pozwolenie dla nas i na krótki czas /konwój, do którego był włączony "Fort de Troyon," zaraz miał odejść/ zabrano nas na pokład "Iskry."



Nowomianowani podporucznicy "Bojowego Kursu" szkoły Podchorążych Polskiej Marynarki Wojennej. (Niektórzy włożyli już mundury podporuczników, niektórzy są je szcze "w skórze podchorążackiej")

Te parę chwil na "Iskrze" obudziły nas z letargu rozpaczy, podniosły na duchu i pozwoliły na dalszą podróż do Francji, gdzie wstąpiliśmy w szeregi Walczącej Polski . . . Na "Iskrze" był smutek, bo być musiał—nieszczęście było zbyt wielkie, ale była też młodość, była wiara w dalszą walkę i w ostateczne zwycięstwo, była dyscyplina marynarska i był niepokonany duch ludzi stworzonych i szkolonych do walki. . . . To też piątka nasza piła tę atmosferę pełną piersią i z całej duszy. Zacni chłopcy z "bojowego kursu Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej" i zacni ich wychowawcy i dowódcy nie zdawali sobie pewno nawet sprawy, jak wielką rolę odegrali wówczas w życiu pięciu rozbitków dążących do walki. . .

* * *

Minęły dwa lata, długie i ciężkie, dwa lata walki, niepowodzeń i rozczarowań. Minęła druga klęska, nieoczekiwana nigdy i upakarzająca, klęska Francji, minęły chwile pracy i nadziei. Kurs Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej pracował, uczył się w ogniu bombardowań, wśród alarmów i świstu bomb. W jednym z portów Anglii na okręcie-bazie "Gdynia" był ich dom. I gdy miasto, w którego porcie przebywali, legło w gruzach, zdali egzamina, a później rozjechali się na brytyjskie okręty na całe pół roku, by uczyć się jeszcze od najlepszych marynarzy świata, by nabrać praktyki bojowej.

A okręty brytyjskie nie próżnowały i prawie wszyscy podchorążowie przeszli dobrą praktykę bojową. Czy to na Morzu Śródziemnym, czy w pościgu z "Bismarckiem," czy w bombardowaniu Petsamo, czy wreszcie w tych najczęstszych i bodaj czy nie najgroźniejszych chwilach: w codziennych prawie walkach, patrolach i konwojach "Bitwy o Atlantyk" od Spitzbergen i Islandii po Azory i po Atlantyk Południowy.

* * *

I trzecie spotkanie odbyło się w "jednym z portów Anglii," gdy podchorążowie zjechali się do promocji na podporuczników marynarki.

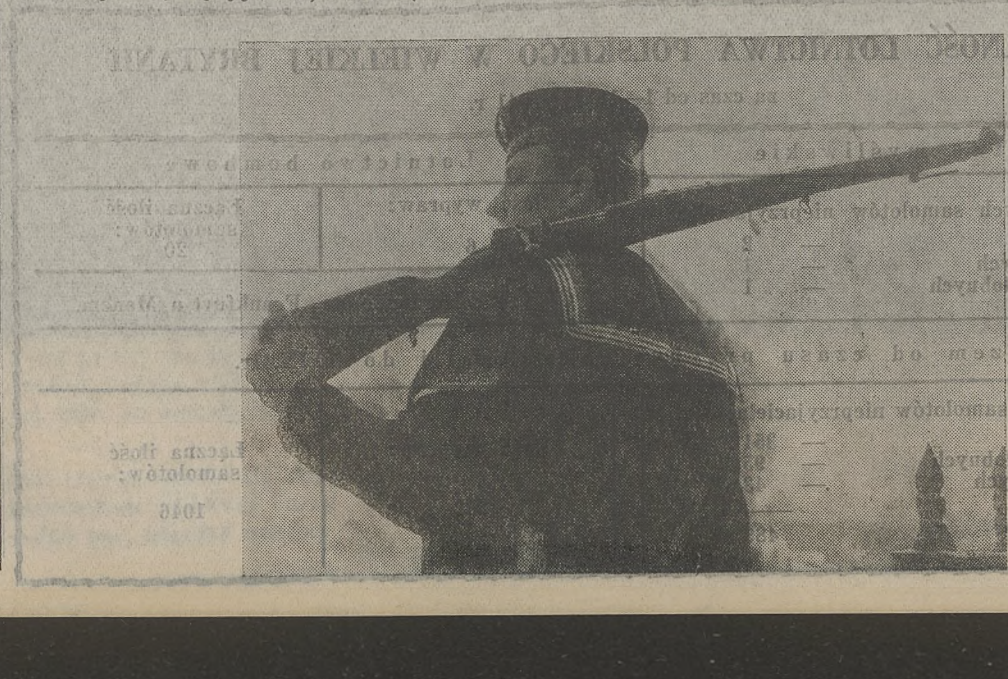
Na obszernym podwórcu instytucji dobroczynnej, której budynek został przemianowany na "Koszary Polskiej Marynarki Wojennej," wyciągnięci jak struny, stali w jednym szeregu podchorążowie /A między nimi mój "serdeczny smarkacz"/ . . . Naprzeciw długi dwuszereg marynarzy z bazy . . . I goście . . . Brytyjski Admirał Floty /"Pełny Admirał"/ Forbes—Dowódca Południowo-Wschodniego Okręgu Morskiego; Admirał Dickens—Szef Działu Flot Sprzymierzonych Admiralicji i wielu innych wyższych oficerów Marynarek Brytyjskiej i Polskiej.

Po zdaniu raportu przez Komendanta Szkoły Szefowi Kierownictwa Marynarki Wojennej, wiceadmirał Świrski wydał krótki rozkaz:

—Zarządzam trzyminutową ciszę dla uczczenia pamięci podchorążych kursu, którzy zginęli śmiercią marynarzy.

. . . Słyszałem, jak biły serca chłopców, "moich" chłopców, kochanych i dzielnych . . . —Daj wam Boże, daj wam Wielki Wszechmocny abyście WY doprowadzili NASZE okręty do wolnej i niepodległej Polski . . . Abym z wami, znowu z wami, przeprowadzał nową transmisję odjazdu "Iskry" z Gdyni na Morze Śródziemne z następnym pokoleniem marynarskim. A na pokładzie instruktorami, abyście byli wy . . . bojowy kurs.

Bohdan Pawłowicz



Z kampanii polskiej

Przeprawa przez Dunajec

W dniu 10 września po krwawych walkach w rejonie Suchej i Myślenic znalazłem się z resztą oddziału na południo-zachód od Wieliczki w pobliżu Dunajca. W godzinach wieczornych we wsi leżącej przy szosie, prowadzącej na wschód, zdaje mi się w Babicach, zebrały się również oprócz mojego drobne oddziały z innych formacyj, które w wirze walki utraciły łączność ze swoimi pułkami.

Sytuacja bardzo poważna. Ze wszystkich stron jesteśmy otoczeni przez nieprzyjaciela. Jedyna droga odwrotu na wschód przez Dunajec obsadzona również przez nieprzyjaciela. Most na Dunajcu zerwany przez nasze własne oddziały, cofające się przed nami.

Najstarszy spośród nas ppłk. K., dowódca jednego z batalionów K.O.P., decyduje się natrzeć na nieprzyjaciela, broniącego przeprawy przez Dunajec—przebić się i utorować drogę na wschód. Z zebranych ludzi organizuje sześć kompanii, tworząc trzy bataliony. Do rozporządzenia ma jeszcze 10 c.k.m., cztery armatki przeciwpancerne i jedną baterię artylerii polowej. Razem jest nas około 1200 ludzi i olbrzymie ilości taborów. W myśl otrzymanych rozkazów zajmujemy pod osłoną nocy stanowiska, aby przed świtem uderzyć na nieprzyjaciela broniącego przeprawy.

Dwie kompanie stają z prawej strony szosy, dwie z lewej, a dwie w odwodzie we wsi, gdzie również znajdują się stanowiska artylerii. Dwa działka przeciwpancerne przy szosie i po jednym na lewym i prawym skrzydle. Oddziały rozpoznawcze, wysłane nad rzekę, stwierdziły, że jest ona dość silnie obsadzona przez nieprzyjaciela. Bliżej sił nieprzyjaciela nie dało się określić. Nieprzyjaciel, który przed wieczorem odkrył skupianie się naszych oddziałów we wsi, strzela bez przerwy silnym, choć nieobserwowanym ogniem artyleryjskim, nie żałując amunicji. Nasza bateria odgryza się od czasu do czasu, jednak rzadko, oszczędzając amunicję, której ma niewiele, na najważniejszą chwilę samego natarcia.

O godzinie 2-ej nad ranem ruszamy do ataku. Krok za krokiem, zwarcie, aby nie utracić w mrokach nocy łączności, posuwamy się w stronę rzeki. Nieprzyjaciel strzela gęsto—widocznie posiada dużo artylerii i bardzo dużo broni maszynowej. Na przedpolu robi się jasno. Zabudowania gospodarskie przy szosie palą się, podpalone przez drobne oddziały nieprzyjaciela, przerzucone na naszę stronę rzeki. Pod naporem naszym oddziały te zostają w części zniszczone, w części zaś przeprawiają się na stronę niemiecką. Jednak nieprzyjaciel, korzystając z oświetlenia palących się zabudowań, strzela co raz celniej, gwałtownością swego ognia po prostu przydusza nas do ziemi. Posuwamy się co raz wolniej.

Wtem na szosie słyszę tentent i turkot. Ze wsi, pozostawionej poza nami już około kilometra, w pełnym galopie po szosie, na którą nieprzyjaciel kładzie najsilniejszy ogień swych karabinów maszynowych, nadjeżdża działo bez jaszcza. Przy dziale ppor. B., jeden z młodszych oficerów naszej baterii. Nie zważając na straszny ogień, działo zajmuje stanowisko na szosie kilkadziesiąt metrów przed naszą pierwszą linią, w odległości około 500-600 m. od nieprzyjaciela. Podporucznik sam jako celowniczy otwiera bezpośredni ogień na nieprzyjaciela. Widząc ten czyn brawurowy, ktory dodaje im ducha, strzelcy posuwają się znów na przód.

Zaczyna szarzeć. Można już odróżnić poszczególne dalsze zabudowania i zarys rzeki. Opór nieprzyjaciela nad rzeką zaczyna słabnąć, odczuwamy to po zmniejszeniu natężenia ognia. Nagle z prawej strony słyszę początkowo dalszy, potem co raz bliższy warkot motorów. Czołgi! Broń dla nas piechurów najgroźniejsza. Daję rozkaz po linii do przygotowania granatów i jednocześnie wysyłam meldunek do dowódcy. Z prawej strony co raz groźniejszy huk motorów—można już odróżnić zarysy czołgów, a tuż za nimi piechotę niemiecką.

Rozkaz dowódcy skierowuje nasz odwrót w stronę nowego nieprzyjaciela. Działka przeciwpancerne otwierają ogień, lecz jest ich mało a czołgów co raz więcej. Kilka z nich już się przejechało po sąsiedniej, na prawo ode mnie, kompanii—są już przy mnie ziejąc ogniem karabinów maszynowych.

Działka znajdujące się przy szosie strzelają bez przerwy—strzelają celnie—już dwa czołgi w pobliżu nas stoją nieruchome, trafione pociskami naszych działek. Jednak trzy czy cztery posuwają się wzdłuż naszych linii i ogniem niszczą wszystko naokoło. Żołnierze strzelają z karabinów, lecz pociski odbijają się od pancerzy jak groch od ściany. Widać już zaczynającą się panikę—kilku żołnierzy zrywa się, biegnąc bezładnie przed siebie lub w tył.

Znów zrywa się jeden. Czyżby do ucieczki? Nie—podbiega do najbliższego czołgu i z tyłu wdrapuje się na niego. Klapa widocznie nie zamknięta—odchyla ją i błyskawicznymi uderzeniami kolby karabinu ogłusza dwóch żołnierzy niemieckich, stanowiących załogę czołgu. Jednemu z nich wyrywa pistolet i dwoma strzałami zabija obydwóch. Jak później się dowiedziałem bohaterem tym był jeden z kaprali, zdaje mi się, z krakowskiego pułku piechoty.

Na prawo w sąsiedniej kampanii słychać wzmożoną walkę. Nasz odwód już doszedł i walczy z kompanią nieprzyjacielską posuwającą się za czołgami. Zdala widzę, że szala zwycięstwa na prawym skrzydle przechyla się na naszą stronę. Nieprzyjaciel zaczyna się wycofywać. Widzą to również obsługi pozostałych dwóch czołgów i zaczynają również powoli wycofywać się w kierunku z którego przyszli.

Przemy dalej w stronę rzeki. Ogień niemiecki wyraźnie słabnie. Widać już grupki ich piechoty, odrywające się od brzegu rzeki od tyłu. Wreszcie cisza.

Zbliżamy się do rzeki—droga wolna.

Jan Hołubiec



Oskar Jazdowski: Garwolin w gruzach

Wrześniowa bitwa w eterze

Radio w tej wojnie weszło już dawno do arsenału broni palnej, broni zaczepnej i odpornej. Trzeci rok wojny notuje niebywałe postępy w zastosowaniu radia jako czynnego środka walki. Nic dziwnego, że co raz częściej słyszy się głosy braci lotniczej: "Tę wojnę wygra radio." Ewolucja radia od roli informatora do wojownika, współpracującego czynnie z samolotem jest tak zadziwiająco szybka i tak jedyna w swoim rodzaju, że należy nareszcie i w naszym skromnym zasięgu rozważań zacząć się poważnie liczyć z możliwościami radia, jako instrumentu walki. W każdym razie pora już docenić i w pełni wyzyskać możliwości radia w walce propagandowej, której pole biegnie równolegle ze szlakiem czołgów i kolumnami piechoty.

Wojna radiowa zaczęła się znacznie wcześniej, aniżeli to dzisiaj niektórzy publicyści przypuszczają, ustalając datę pierwszych działań wojennych w eterze na miesiące wiosenne 1940 r. Historia tej wojny i historia radiofonii powinny wpisać do swoich kronik pierwszą bitwę radiową, która rozegrała się w eterze w nocy 7 ego września na 8-y września 1939 r. pomiędzy stacjami Lwów i Wrocław.

Bitwa ta rozpoczęła się niebywałą niemiecką prowokacją radiową, która nastąpiła około 10-tej wieczorem 7-ego września. Propaganda niemiecka zagłuszyła idącą w tym czasie na antenie audycję Lwowa i kradnąc falę naszej stacji dostroiła Wrocław dokładnie do stacji lwowskiej. W pierwszych minutach powstał zupełny chaos i zamęt na antenie, poczem wyłonił się z tego triumfalny głos speakera niemieckiego stacji Wrocław /Breslau/.

Na tle głuszonej, zadławionej, ale słyszalnej jeszcze na drugim planie audycji lwowskiej, speaker wygłosił po niemiecku i po polsku następującą zapowiedź: "Tu Deutschlandsender—Radio Breslau, Radio Gleiwitz, Radio Danzig, Radio Königsberg, Radio Krakau, Warszau I, Warszau II oraz po raz pierwszy nowo przyłączona stacja Lemberg—Lwów."

Gdyby bomba z krążących w tym czasie nad Lwowem Dornierów uderzyła w środek studia, byłaby sprawiła pewnie mniejsze wrażenie. Wrażenie to było tak wstrząsające dla zebranych w studiach pracowników i wykonawców, że dopiero wtedy patrząc na nich i badając własną reakcję zrozumiałem i doceniłem całą potęgę uderzenia instrumentu radiopropagandowego, choćby tak zakłamanego, jak przytoczona zapowiedź Wrocławia.

Trzeba przyznać, że działanie tego uderzenia podobne było do serii c.k.m.'u—po kilku minutach wszyscy się otrząsnęli. Odpowiedzialny inżynier z ogniem w oczach szeptał przez zaciśnięte zęby: "A to dranie, ja im pokażę"—i wlazł pomiędzy metalowe labirynty przyrządów technicznych. Speakerzy i wykonawcy z wypiekami na twarzach mówili do siebie: "Ukradli nam Lwów." Mniej odporne niewiasty, tłumaczyły sobie zresztą dość logicznie: "Jak to Lemberg? Jak to oni przyłączyli? Przecież my tu jesteśmy." A stary woźny zdecydował krótko: "Złodzieje—panie, Krzyżaki kradli, Wiluś kradł, to oni też od tego zaczynają."

Mobilizacja całego personelu technicznego i programowego nastąpiła niebywale sprawnie i szybko, ludzie otrząsnęli się z pierwszego wrażenia i oczekiwali decyzji "dowództwa," które zebrało się na błyskawiczną naradę. Jakiś inny duch powiał przez studia i amplifikatornię. Wrażenia jak przed bitwą. Ukochana stacja radiowa, przywłaszczona bezczelnie i podstępnie przez *Deutschlandsender* — znalazła godnych obrońców. Rozdzwoniły się telefony naszych radiosłuchaczy: "Róbcie coś. Słyszeliście? Bijcie się o Lwów."

Decyzja zapadła w ciągu kilku minut tak, że już o godz. 10.30 poszedł pierwszy komunikat Lwowa na antenę: "Tu mówi Lwów i prostuje kłamstwo Wrocławia, który pozwolił sobie na jeden, chyba z najgorszych dowcipów propagandy niemieckiej, ogłaszając przed chwilą przyłączenie stacji Lwowskiej do *Deutschlandsender*. Na dowód, że istniejemy i działamy i działać będziemy nadajemy z płyt marsza "Lwowskie Dzieci" w odpowiedzi na bezczelne kłamstwa niemieckie."

Komunikat ten wygłoszony został z bliskiej odległości na magnesie mikrofonowym donośnym głosem, a to w tym celu, by zgłuszyć muzykę, idącą równolegle, równocześnie z Wrocławia; /grał on oczywiście w dalszym ciągu na Lwowie/. Technicy nasi czynili dramatyczne wysiłki, starając się uzyskać największą moc naszej stacji, celem przygłuszenia nieprzyjacielskich. Kontrola na aparatach lampowych, zainstalowanych obok w pokojach—stwierdziła, że komunikat lwowski był doskonale słyszalny na antenie Wrocławia, przykrył muzykę tej stacji, po czym ta sama kontrola donosiła, że płyta, która obecnie idzie na antenie lwowskiej walczy skutecznie z płytą niemiecką. Jedynie tylko kierownik muzyczny łamał ręce, z powodu przeraźliwej kakofonii, którą rozpętały dwie stacje, grające na wspólnej fali równocześnie. Oni grali Wagnera—my marsza Lwowskie Dzieci.

Pierwsze natarcie odparte, ale bitwa toczy się dalej. "Sztab" zamknął się w studiach i tłumaczy komunikat lwowski na język angielski, francuski, niemiecki, rosyjski i ruski. Ruch w biurze i w studiach niebywały. Speakerzy dostają polecenia nadawania bez przerwy płyt muzyki polskiej ze szczególnym uwzględnieniem silnych nagrań marszowych. Stacja pracuje na pełny gaz, inżynierowie zwijają się jak w ukropie.

Niemcy spostrzegli się od razu, że bitwa radiowa została przez nas w pierwszym natarciu wygrana i czynili doskonale słyszalne wysiłki dla wzmocnienia Wrocławia. W drugim natarciu nieprzyjaciel zastosował arcysprytny chwyt: celem zmylenia radiosłuchaczy zaczął również nadawać muzykę polską /Mazura z opery "Halka"/. Wtedy my zdecydowaliśmy momentalną zmianę i nagle z zaskoczenia "krótkimi seriami" zaczęliśmy "grzać" potężnymi nagraniami muzyki symfonicznej. Jedyny w swoim rodzaju pojedynek muzyczny—autentyczna bitwa fal w eterze.

Po godz. 11-tej w nocy, zaczęliśmy "ciężkie bombardowanie" Wrocławia komunikatami, demaskującymi kradzież fali Lwowa, wygłaszanymi w kilku językach. Dla zgłuszenia tych komunikatów Niemcy ponownie wprowadzili na pole bitwy "kolubryny Wagnerowskie" bez szkody jednak dla wyrazistości słów naszych speakerów. Komunikaty Lwowa wygłaszano jedne po drugich bez przerwy, powtarzając całość we wszystkich językach co dziesięć minut.

Załoga Lwowa zapomniała o nieprzespanych nocach poprzednich, nie słyszała, że wybiła północ, że dzień 7-ego września zamknął się nad nami i toczyła dalej z uporem bitwę o Lwów—toczyła bitwę o prawdę. Zachęcały nas telefony radiosłuchaczy, którzy brali w tej walce udział całym sercem i całą duszą, a wielu lampowiczów "na ochotnika" informowało nas dodatkowo o obserwacjach skutków naszej walki w eterze.

Około godz. 1-ej w nocy tempo bitwy z obu stron osłabło. Wrocław przeszedł na muzykę taneczną z płyt, Lwów na muzykę ludową. Sielanka . . . ale z wyraźnym zamiarem przetrzymania i przemęczenia przeciwnika. Normalnie Lwów kończył audycję o godz. 11.30 względnie o godz. 12-ej w nocy w sezonie zimowym, Wrocław również o tej porze zamykał mikrofon. Jasne więc było, że Niemcy obecnie czekali na ukończenie przez nas audycji.

U nas decyzja dawno zapadła: "Gramy całą noc." Muzycy z trwogą sprawdzali zapas płytoteki i wyciągali najstarsze okazy muzyczne, by wytrzymać tyle godzin grania. Technicy troskliwie oglądali lampy i aparatury, które nie przystosowane do tego typu wyścigu, groziły komplikacjami. Wrocław nie skończył audycji ani o 12-ej ani o 1-ej w nocy, lecz dalej z uporem trzymał się fali Lwowa. Postanowiliśmy do reszty popsuć im krew, więc po każdym naszym komunikacie, wygłoszonym w języku angielskim i francuskim, dawaliśmy hymny tych państw i ich najpopularniejsze marsze wojskowe.

Wrocław około godz. 2-ej wyraźnie zaczął kapitulować, czy z braku "amunicji" /zapasy płytowe mogły być na wyczerpaniu, /czy też z nadmiernej senności i dawał ciche płyty muzyki kameralnej, powtarzając grane już poprzednio utwory. Tego nam tylko trzeba było. Mniej więcej ok. godz. 3-ej nad ranem, urządziliśmy zasadzkę na zmęczonych Niemców: udaliśmy, że kończymy audycję i przerwaliśmy muzykę z płyt.

Wtedy Wrocław zrobił to samo, przestał grać i zeszedł z pola bitwy, ale niebawem chyba zadrżał ze złości i bezsilnego gniewu. Albowiem w dziesięć minut później poszedł już bez przeszkód na wolną antenę czysty głos Lwowa, który powtarzał komunikaty, prostujące fałsze propagandy niemieckiej, rozbrzmiały swobodnie hymny sprzymierzonych i pierwszy raz chyba w dziejach radiofonii Lwów nad ranem życzył swoim radiosłuchaczom "dobrej nocy" i śpiewał "Jeszcze Polska nie zginęła."

Tak dnia 8-ego września 1939 r. po godz. 4-ej nad ranem skończyła się pierwsza bitwa radiowa, toczona bez przerwy przez 6 godzin—bitwa fal radiowych w eterze.

Bitwa się skończyła—ale walka trwa. Codziennie eter przeżywa teraz nowe emocje, bije się na falach radia nie tylko Rosja z Niemcami, ale i Niemcy z W. Brytanią i Ameryka z Niemcami. Dzieje się to w trzecim roku wojny, niemal dokładnie w drugą rocznicę naszej pierwszej bitwy Lwowa z Wrocławiem.

Na tym nowym polu walki nie powinno braknąć odważnej, silnej załogi radiowej polskiej, idącej śmiało w eter na spotkanie przeciwnika, *załogi fachowej*, pełnej inwencji, gotowej do ataku i do obrony, załogi ambitnej, znającej dobrze wartości jawne i utajone własnej, niezrównanej broni, którą w arsenale tej wojny było i będzie radio.

Victory

List z Kanady

Drukujemy list prywatny jednego z członków misji Gen. Ducha. Choć nie był on pisany z myślą o druku—przez swoją szczerość i prostotę dobrze odtwarza pierwszy, wstępny etap organizacji wojska polskiego w Kanadzie.

Windsor, 27.VIII.1941.

Bardzo przepraszam, że dopiero dziś piszę—otóż dlatego, że nie mieliśmy dokładnego adresu zwrotnego. W streszczeniu podam dla Państwa trochę wiadomości.

Płynęliśmy . . . dni — pogoda piękna. Nieprzyjaciela w powietrzu i na morzu nie było. Na morzu Polacy nie chorowali, czego zazdrościli angielscy i kanadyjscy lotnicy. Na statku odbywała się msza św., którą odprawiał ks. dziekan Bombas. Bardzo uroczyście obchodziliśmy rocznicę Zwycięstwa pod Grunwaldem oraz święto lotnicze nowych lotników, którzy płynęli również z nami.

Spanie w hamakach bardzo wygodne—jedzenie dobre. Codziennie koncert muzyki fortepianowej—mieliśmy także na stół dwie panie Polki, p. C. i żonę porucznika. Tania kantyna—codziennie kąpiel w łazienkach okrętowych. To było wszystko na morzu.

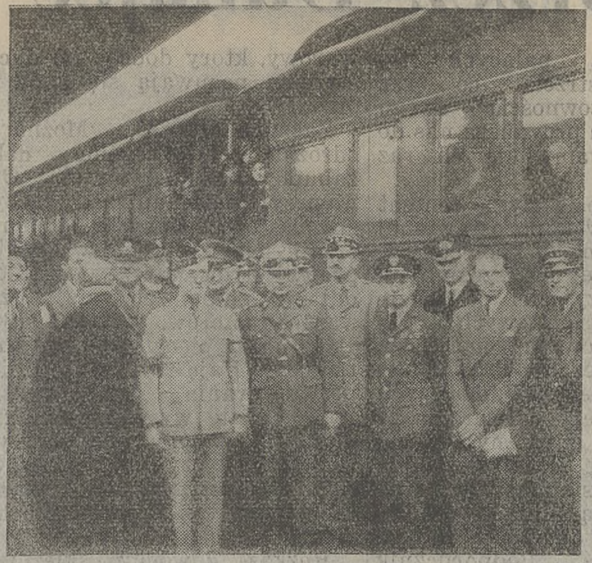
17 *lipca g.* 11 *w nocy odczułem ziemię pod stopami /przedtem* 5 *godzin postój na redzie/. Prawie każdy z nas ze wzruszenia zapominał języka—po prostu nie chciało się wierzyć, że to jest miasto portowe Halifax. Tu już nie potrafię opisać tego—te niezliczone masy ludności różnej rasy—olbrzymie statki różnego typu—światła reklamowe w różnych kolorach—na statkach dużo wojska.*

Zjeżdżają się przedstawiciele Polonii i władz kanadyjskich—pierwszy nocleg w pociągu. Zajmuje się nami ppłk. A.

18.*VIII. zwiedzanie miasta. Obława na sklepy owocowe—taniocha* —6—7—10 *cent. duża paczka owoców różnego gatunku. Część sklepów w nocy otwarta—godz.* 2 *w nocy kupowałem pomarańcze. Ach, te piękne reklamy sklepowe—tu znowu jestem analfabetą, nie potrafię tego opisać. Do rana całe miasto było zaalarmowane* "Polish soldiers" *przybyli z Anglii—w Halifaxie Polaków bardzo mało.*

g. 16 *odjazd w stronę Montreal—tu Polonia bardzo bogata w ilość. Pierwsze zetknięcie z nowymi rodakami. Na dworcu kolejowym tłumy ludności polskiej i angielskiej. Krótkie przywitanie. Delegacje z chorągwiami—ludzie płaczą—niektórzy śpiewają, dzieci deklamują. A my stoimy na peronie /osłupiali/.*

Potem przejazd autobusami przez całe miasto. Miasto piękne, 150 *tysięcy mieszkańców. Ruch na ulicach wstrzymany — eskortuje nas policja dla powstrzymywania tłumów ludności. Stajemy w Domu Polskim. Kolacja z winem—przemówienia. Mam łzy w oczach. Kolacja się kończy. Wracamy na dworzec.*



Przywitanie misji Gen. Ducha w Montreal'u



Wśród Polonii w Toronto

Nazajutrz jesteśmy w Toronto—trzygodzinny postój. Na dworcu kolejowym kilkuset Polaków z orkiestrą i sztandarami. Przemówienia i deklamacje—kwiaty—dzieci w strojach narodowych. Śniadanie w sali reprezentacyjnej dworca kolejowego. Toasty, śpiewy bez końca—ludziska robią tłok, aby tylko dotknąć się munduru żołnierza polskiego. Pan generał Duch zasypany kwiatami. Zmuszają go do łamania się z dziećmi, które witają nas, chlebem i solą.

Całe masy reporterów prasy kanadyjskiej — dziesiątki aparatów fotograficznych i filmowych. Odważniejsze panie podchodzą do żołnierzy—następuje wymiana pocałunków. Słychać tylko jedno pytanie: "skąd,—z jakich stron pan." Dalej odzywa się mikrofon: "Żołnierze z Warszawy powstać, z Lubelskiego, z Krakowskiego, może z Pomorza." Dalej słyszy się akcent śląski,—kto jest z Górnego Śląska wystąp.

Następnie pan Konsul prosi żołnierzy do zajęcia miejsc w samochodach—dworzec kolej. sygnalizuje, że za 20 *minut odjazd. Słyszy się głosy: Nie odjeżdżajcie od nas—Daj mi pan nazwisko—muszę pana ściągnąć na urlop do nas—i t.d. . . . Nareszcie jesteśmy na dworcu. Wiwaty na cześć Armii Polskiej bez końca i słyszy się po angielsku, francusku i po polsku. Pociąg powoli rusza—trzy orkiestry grają, tłum śpiewa: "Marsz Sikorski z ziemi Anglii do Polski."*

Kończy się miasto. Pola uprawne. Jest po żniwach. Odczuwamy co raz to większy upał.

Po drodze z Toronto do Windsor jeszcze trzy razy nas witają na stacjach kolejowych. Ludziska zjeżdżają się z dalekich stron, bo to jest dzień niedzielny. Spotykam moich znajomych z Polski.

Godz. 13.30*—przygotować się do wysiadania na następnym dworcu. Serce mi bije—co to będzie. Godz.* 14 *widać* 30*-piętrowe drapacze—to jest U.S.A. Detroit, godz.* 14.30 *jesteśmy nareszcie—kres naszej* 75*-dniowej podróży.*

Chcąc opisać to, co się teraz dzieje trzeba z pięć arkuszy papieru. Stacja kolejowa jest nad zatoką. Widać Detroit—odległość 200 *m. Kompania honorowa wojsk kanadyjskich, kompania honorowa wojsk polskich w Kanadzie. Weterani, Sokoli i inni—cztery orkiestry—generał wojsk Kanadyjskich—tysiące ludzi przed dworcem — ruch samochodowy wstrzymany. Nie potrafię tego opisać.*

Przemarsz główną ulicą miasta. Ludność stale wiwatuje—słyszy się bardzo dużo Polaków—huragany oklasków. Wojskowa kapela szkocka gra Warszawiankę. *Setki aparatów fotograficznych oraz filmowych. Bardzo dużo ludzi widzimy z U.S.A. — poznajemy po małych chorągiewkach barwy amerykańskiej. Policja na motocyklach utrzymuje porządek. Tysiące samochodów stoi w bocznych ulicach, czekają na przejazd—nikt nie próbuje zamieszać porządku—przemarsz ulicami trwa około* 40 *minut.*

W centrum miasta p. gen. Duch składa wieniec przed pomnikiem żołnierza kanadyjskiego. Kompania honorowa wojsk kanadyjskich prezentuje broń—mija generała Ducha w dwuszeregu frontem do pomnika. Krótkie przemówienie. Marsz w kierunku do koszar na zasłużony wypoczynek, każdy z nas zlany potem—upał 25 *stopni.*

W koszarach godzina czasu na kąpiel, oczyszczenie się, zapoznanie się z łóżkiem. Zbiórka na olbrzymiej sali jadalnej urządzonej po amerykańsku. W obiedzie bierze udział 300 *osób, każdy z nas otrzymuje bilet z numerem i kilka osób, z którymi trzeba mówić o Polsce, wojsku polskim w Szkocji, o Anglii. Czy to prawda, że Londynu już nie ma—jak było na wojnie w Polsce. Mam kłopot, bo jestem niepalący, ale to panie nie chcą wierzyć.*

Obiad się przeciąga—zaczynają się mowy—mówią Amerykanie, Kanadyjczycy, gen. Duch, płk. A. Słyszy się tłumaczenia na polski, to znowu na angielski język. Tłumy przed koszarami czekają na ognisko wieczorne. Nareszcie słychać megafony—o 7*-mej godz. zbiórka na podwórzu koszar.*

Uroczyste ognisko. Ogień rozpalił p. gen. Duch. Zabawa przy ognisku po polsku, tańce narodowe i śpiewy polskie. Godz. 11 *w nocy—prosimy ludność, żeby poszli—nikt nie słucha.*

Nareszcie mycie i mocny sen. Następnie trzy dni mamy czasu na odpoczynek i zwiedzanie miasta oraz polskich rodzin.

Józef Kołek



Dzień Polski w Detroit: Gen. Duch. w towarzystwie Ks. Bisk. Woźnickiego, Ks. Kap. Bombasa i Konsula W. Brytanii



Dzień Polski w Detroit: grupa żołnierzy pośród przedstawicieli Polonii Kanadyjskiej

Skrzynka pocztowa

Zwracam się z prośbą o poparcie mej myśli na łamach naszego pisma:

Bardzo dużo naszych braci cierpi w niewoli niemieckiej głód. My tutaj żyjemy w stosunku do nich roskosznie. Czy nie jest naszym obowiązkiem ulżyć ich doli. Opodatkujmy się dobrowolnie, np. podporucznik 1 funt, porucznik 2 funty i t.d. w stosunku do stopnia. Wysyłajmy im paczki żywnościowe i odzieżowe. Przecież to jest nasz obowiązek. Niech tylko Naczelny Wódz wyda odpowiedni rozkaz a nigdy mu i my tutaj i tamci w niewoli nie zapomnimy.

porucznik W.P.

Proszę, o ile redakcja uzna za stostowne, o poparcie ze swojej strony.

* * *

293, Mills Street,
Buffalo, New York.
Sierpień 18, 1941.

Kochani Rodacy,

Jestem młodą dziewczyną i bardzo bym lubiła pisać do kilku Polskich Lotników.

Jedna z moich przyjaciółek pisuje do dwóch Polskich Żołnierzy. Otrzymuje ona takie interesujące listy, że ja jej zazdroszczę. Więc proszę bardzo, aby nie tylko jeden Lotnik, ale paru do mnie pisało.

Zasyłam dolara na marki dla nich.

Z szacunkiem.

Helena Jesse

Dołączony do tego listu banknot dolarowy przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi na Fundusz Pomocy Jeńcom. Jesteśmy pewni, że bez tych pieniędzy na znaczki, które przydadzą się na pomoc bardziej potrzebującym od nas—miła Polka z Ameryki nie będzie się żaliła na brak listów od lotników polskich.

* * *

Buenos Aires, dnia 30 lipca 1941.

Szanowna Redakcjo.

Z prawdziwym entuzjazmem witamy tutaj każdy numer "Polski Walczącej" i serdecznie gratuluję Szanownej Redakcji tak znakomicie redagowanego pisma. Wyczytawszy w jednym z numerów "Polski Walczącej," iż Redakcja poszukuje pieśni śp. Ignacego Paderewskiego "Hej Orle Biały" a tam na miejscu nikt nut tych nie posiada, pozwalam sobie przesłać ten piękny hymn w odpisie z mojego zbioru nut, zaczerpnięty ze śpiewnika wydanego przez Feliksa Nowowiejskiego.

Władysław Neuman

* * *

1821. To. Central Park Ave.
Chicago, Ill., U.S.A.
7.VII.1941.

Wielce szanowna Redakcjo!

Witam "Polskę Walczącą" i Żołnierza, drogiego mi Brata z Polski na obczyźnie.

Witam wszystkich, którzy zrozumiecie serce Polki na wolnej ziemi amerykańskiej. Serce z duszą leci do was, ażeby zanieść słowa może wam dziś potrzebne. Niech mi wolno będzie zasłać wszystkim Polakom, będącym tam, w Anglii, naszym tak nam bliskim Żołnierzom, jak najserdeczniejsze pozdrowienia tak ode mnie, jak i od całej Polonii Polskiej w Ameryce. Daj Boże, ażeby się kiedyś zobaczyć po wojnie na ziemi wolnej naszej Ojczyzny Polski. Moim całym sercem i duszą pragnę pomóc wam w czymkolwiek będzie moją siłą.

A teraz kilka słów o codziennej Porannej Modlitwie mojej:

Co dzień do Ciebe Boże coś w niebie,
Naród zanosi błaganie:
Ratuj z niedoli, zagoj co boli,
Od wojen nas chroń Panie.

O Stwórco świata, już długie lata,
Niedola dziatki Twe gniecie,
Wojny zawieje niszczą nadzieje—
Krew strugą płynie po świecie.
Tam kule brzęczą, tu ranni jęczą,
Pole trupami zasłane.
Bezbronne matki tulą swe dziatki
W liche łachmany odziane
Po całym świecie bieda lud gniecie,
Biedak dziś nie ma posłuchu.
Co dzień biednemu gorzej na świecie,
Biedak upada na duchu.
Chleba brakuje, naród bieduje,
Ceny wciąż idą do góry,
Bieda się sroży, co raz nam gorzej.
Drą nas jak kozłów ze skóry.
Wysłuchaj Boże Twój lud w pokorze
Żebrzący łaski u Ciebie:
Ukręć łeb wojnie, niech lud spokojnie
Żyje na ziemi, jak w niebie.
Zduś rasę niby to wyższą—dumną i pyszną
Która się gnieździ w Berlinie.
O Chryste Panie, niech bycze lanie
Mussoliniemu nie ujdzie.
Z bólu niech jęczy, powie, że więcej
Na podbój świata nie pójdzie.
Pozwól o Panie—niech Polska wstanie
By zajaśniała i żyła,
A wrogów, katów, osłów, psubratów
Niech zimna skryje mogiła.
Choć oczy łzawe, to na zabawę
Wszystkich zapraszam was szczerze
I tam przy kantrze z wami pogwarzę
O dzikiej bestii Hitlerze.

Tyle na dziś zasyła
Weronika Wieżgacz
z Chicago z Ameryki, czytelniczka "Polski Walczącej."

W trosce o żołnierza

W dniach 20—30 *sierpnia b.r. odbył się w St. Andrews "Kurs pracy świetlicowej," zorganizowany łącznie przez Wydział Kulturalno-Oświatowy Polskiego Czerwonego Krzyża, przez Polską Y.M.C.A. i Samodzielny Referat Propagandy i Oświaty Pierwszego Korpusu. Wzięło w nim udział z górą* 30 *kierowniczek świetlic żołnierskich oraz kilkunastu oficerów i podoficerów oświatowych. Wykłady, pokazy i zajęcia praktyczne kursu wypełniły około* 70*-ciu godzin i objęły wszystkie sprawy, dotyczące prowadzenia świetlic zarówno w warunkach naszej obecnej egzystencji, jak w akcji bojowej.*

Kurs umożliwił spotkanie się, wymianę myśli, pogłębienie wiedzy tym ludziom, którzy troszczą się o kulturalne potrzeby żołnierza. Zdołał wytworzyć zupełnie wyjątkową atmosferę pracy zespołowej, pełną zapału, harmonii, czystości, przenikniętą jedną ideą—troski o żołnierza. Za wytworzenie tej atmosfery szczególna wdzięczność należy się kierownikom Polskiej Y.M.C.A. pp. Wójcickiemu i Majchrzakowi, ale i wszystkie instytucje współdziałające, wykładowcy i uczestnicy—pracowali w niezwykłym i budującym porozumieniu, w bliskości uczuciowej, myślowej i organizacyjnej, która musi dać pożądane owoce.

Życzymy tego gorąco.

Z życia obozów

Dywizjon 303—Ich pierwsza rocznica

Biały śnieg. Przyszedł jakoś tak nieśmiało, trwożnie osiadając na ziemi, gotowy każdej chwili zerwać się i uciec daleko stąd z wiatrem, z którym przyszedł.

Po białej okowie płynie śpiew. Taki znajomy śpiew o Bogu, który się w tej chwili rodzi. O Bogu, który przychodzi, by własnym życiem odkupić świat z jego grzechów. . . .

Wigilia.

Nie! To symbol wspólnej wieczerzy przyjaciół, braci! Wieczerza ludzi zespolonych jedną myślą, jednym przebytym bojem. . . . Złączyły ich dnie, godziny, minuty, które dla jednych były walką na śmierć i życie, a dla drugich zmaganiem się z niepewnością w wiekowych godzinach czekania.

Nie wszyscy mogli podzielić się opłatkiem. Ktoś odszedł, za nim opadł pierwszy śnieg. . . . Nie zapomniano o nich! Zebrani wszyscy postanowili wspólną rezolucję, przyrzekając, że

1/ Dzień 1 września każdego roku będzie dniem Święta 303 Dywizjonu Warszawskiego im. Tadeusza Kościuszki, bez względu na to, jaką numerację otrzyma w Odrodzonej i Niepodległej Polsce.

2/ W dniu tym, po wieczne czasy postanawiamy: składać hołd wszystkim kolegom Dywizjonu, poległym na ziemi angielskiej, w walce o Niepodległość naszej Ojczyzny, przez złożenie wieńców na grobach i zrzucenie wieńców do Kanału La Manche.

3/ W dniu tym postanawiamy zjazd wszystkich byłych żołnierzy 303 Dywizjonu w przyszłym jego miejscu postoju.

Tak brzmiały słowa wspólnego postanowienia na dziś i na dziesiątki lat później!

. . . Zielony wieniec zakołysze się na wodach Kanału La Manche, a biało-czerwone wstęgi będą muskać fale. . . .

I w rok później — —

Szybkie uderzenia kół o złącza szyn pochłaniały niezmordowanie kilometry, a odbiegające słupy grały dla jednych pieśń pożegnania, a dla drugich powitania. . . .

Ile minęliśmy ich w drodze do Polski, oddalając się od niej? Spotykaliśmy je wszędzie. Czasami łączyły się z nimi pragnienia "dosięgnąć chociaż by następnego"—gdy przekradano się w ucieczce z Kraju, jak tropiony przez sforę psów zając. . . . Czasami łączyły się z nimi wspomnienia przekleństw. . . .

a dzisiaj łączy się z nimi nowa tęsknota, nowe pragnienie: mijać je jak najszybciej w drodze do Nowego Kraju!

Nowy Kraj—i droga do niego. . . . Oh! Daleka . . . daleka. . . . Czy dojdziemy?

Czy potrzeba pytać? Dojdziemy!!

Groby. . . .

Drogowskazy do światła poprzez malaryczne tereny Rumunii, poprzez suche piaski Afryki, poprzez piękne ziemie Francji, poprzez skaliste brzegi Norwegii, poprzez niezgłębione wody oceanów i mórz, poprzez ziemie Anglii.

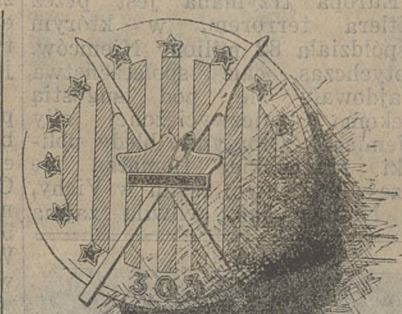
. . . Nieznane dzisiaj, może obce nawet, ale jutro w powodzi kwiatów!

—Jeszcze godzina jazdy—

Zielony wieniec leży obok. To nie są zwykłe listki, gałązki splecione razem! Nie! To są zebrane razem, nanizane jak koraliki różańca—modlitwy nas wszystkich, wyrazy czci, dla tych, którzy jeszcze tak niedawno byli z nami, a dziś są na drodze do Polski. Na drodze, w której budowie złożyli swój czyn, swoje życie!

Na dwu cmentarzach, na różnych krańcach Anglii, na drewnianych krzyżach, zawisły wieńce. Złożyły je delegacje. Biało-czerwone wstęgi wieńców lśniły w słońcu, na znak, że spoczywa tutaj Polak! Na znak, że czyn jego nie został zapomniany! . . .

Dzień pierwszego września wstał po pięknej nocy z lekko zachmurzonym niebem.





Godzina dziewiąta rano. Zbiórka przy hangarze "M Flightu." Pusto w nim dzisiaj.

—Czwórki w prawo zwrot! Marsz!

Wszystko odprasowane i odczyszczone do ostatniego guzika.

Idziemy do kościoła położonego w pobliżu lotniska. Równy krok. Powaga na twarzach.

Mały, nowy kościółek. Białe, puste ściany bez żadnych ornamentów, tylko pomiędzy wąskimi strzelistymi oknami wmurowane płaskorzeźby "Męki Pańskiej."

Na głównym ołtarzu pali się sześć świec przewiązanych czarnymi wstęgami. Po środku kościoła na wzniesieniu przykrytym czernią, trumna. W ławkach żołnierze Dywizjonu, młodzież szkolna, ludność cywilna.

Msza św. . . .

Widać było poruszające się wargi i słychać było ciche słowa modlitwy, jak trzepoczące się skrzydełka motyla. Modlitwa za wszystkich, za tych, którzy zginęli we wszystkich zakątkach świata w walce o wolność. Po skończonej mszy św. mocne słowa polskiego kapłana, od stopni ołtarza:

"*. . . Jest w Szkocji w Edynburgu skałka, na której stoją cztery aniołki trzymając w rękach srebrną trumienkę z zapisanymi nazwiskami tych wszystkich, którzy zginęli w walce o ideę. Ale nie tak piękną jest ta trumienka, jak napis na ścianie tego kościoła: "Oni odeszli, lecz pamięć ich żyć będzie zawsze w sercach naszych."*

. . . a święte i z czcią wymawiane będą imiona tych, co poszli za hasłem Polek:

Miłość Wymaga Ofiary . . ."

Schyliły się głowy w modlitwie za poległych żołnierzy 303 Dywizjonu.

"*Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie—A światłość wiekuista niechaj im świeci na wieki. Amen*"

I po raz pierwszy mury kościoła wypełniły się śpiewem ze wszystkich piersi żołnierzy: "Boże Coś Polskę"—

Wróciliśmy na lotnisko.

O piątej po południu będzie dalszy ciąg dzisiejszej uroczystości. Do tego czasu praca idzie normalnym trybem. Normalnie "*Flight'y*" trzymają "*readiness.*" Normalnie "*park*" pracuje.

Gościmy gości! Przyleciały delegacje z innych dywizjonów. Pięknie jest, gdy na lotnisku lądują maszyny z różnymi znakami na kadłubach. Koleżeństwo broni. Razem przecież latali na wyprawy po za brzegi Anglii, razem wspomagali się, gdy staczali walki z wrogiem.

Przylecieli nie jako obcy ludzie do siebie, dla utartego zwyczaju—nie! Kierowały nimi uczucia braterstwa, uczucia wzajemnego . . . wzajemnego zrozumienia się w walce i jej celach. . . .

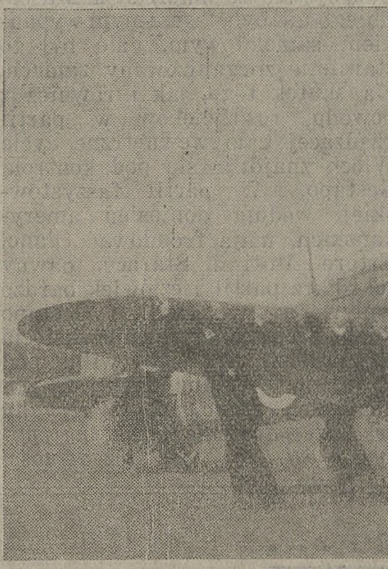
To przylecieli na rodzinną uroczystość—jej członkowie.

Godzina szesnasta. Dwanaście samolotów przedefilowało kilkrotnie nad lotniskiem we wszystkich możliwych szykach.

Godzina siedemnasta minut dwadzieścia. Na dużym placu przed pięknym budynkiem "aeroportu" na tle flagi angielskiej i polskiej, zawieszonej na wysokim maszcie, stanął w pełnym składzie Dywizjon.

Dowódca Dyw. kpt. pil. J. zdał raport angielskiemu dowódcy stacji.

Załamano skrzydła. Czworobok zamknęli przybyli goście z innych dywizjonów dwaj angielscy księża katoliccy, reprezentant statku "Kościuszko," Anglicy.



Apel! Apel poległych, zaginionych, żyjących.

—Por. pil. Ludwik P.

—Poległ na polu chwały.

—Sierż. pil. P.

—Zaginął.

I długa lista tych, którym nie dane było stanąć do dywizjonowego apelu w pierwszą jego rocznicę. Może w niejednym oku zamigotała łza za tymi, którzy dla jednych byli braćmi, dla drugich przyjaciółmi, bliskimi znajomymi. Widocznie chciał tak Bóg. . . .

Modlitwa zakończyła apel.

—"*Żołnierze, mam zaszczyt być organizatorem pierwszego Święta Dywizjonu. Zrealizowaliśmy dużo hartem ducha, dużą wolą, dużą pracą. Osiągnęliśmy rezultaty, które przeszły najśmielsze oczekiwania.*

Pamiętajmy, że w odznace swojej mamy kosy, a te nigdy się nie stępią. . . ."

—oto krótkie, a mocne słowa dowódcy. Czyż potrzebne były obszerniejsze? Myśmy wszyscy zrozumieli jego, bo on rozumiał nas.

Dowódca stacji zwrócił się do zebranych też w kilku słowach:

—"*. . . Żołnierze 303 Dywizjonu, pragnę was powitać na tym lotnisku i jestem dumny, że święto swoje obchodzicie na moim lotnisku.*

. . . znam wasze czyny i znam pracę wszystkich waszych żołnierzy. Mam nadzieję, że w dalszej pracy będziecie mieli takie rezultaty, jakie osiągnęliście teraz."

Wyprężone szeregi były odpowiedzią i podziękowaniem za te słowa.

Po paru sekundach przerwy—

—*Baczność!—Rozkaz dzienny No.* 186.—*Spocznij!—Punkt* 2. *Nadanie Bojowej Odznaki Kościuszkowskiej.*

"*Na podstawie statutu o Bojowej Odznace Kościuszkowskiej i uchwałą Komisji, została nadana "Bojowa Odznaka Kościuszkowska" z dniem 2.8.1941 w uznaniu za wybitną działalność i wzorową pracę w okresie walk 303 Dywizjonu Myśliwskiego na terenie Wielkiej Brytanii.*"

Każdemu wywołanemu, dowódca wręczał osobiście odznakę. Kilku żołnierzy Anglików, którzy pracują w Dywizjonie od pierwszego jego dnia powstania, otrzymali też odznaki. Widać było dumę na ich twarzach.

Odczytano kilka depesz nadesłanych do Dywizjonu. Oto wyjątki z nich:

Dowódca 303 Dyonu Myśl. Warsz. im. Tad. Kościuszki

"*. . . przesyłam dyonowi, jego Dowódcy i żołnierzom serdeczne życzenia szczęścia żołnierskiego i z całym lotnictwem polskim wznoszę okrzyk:*

Nasz sławny warszawski Dyon Myśliwski im. Tad. Kościuszki Niech żyje!

Inspektor Polskich Sił Powietrznych

"*. . . Całym sercem jestem z Dyonem w Dniu Jego Święta.*

Zastępca Inspektora Polskich Sił Powietrznych.

"*. . . On the Feast Day of Your Squadron we wish you success and best wishes too.*

Officer Commanding 308.

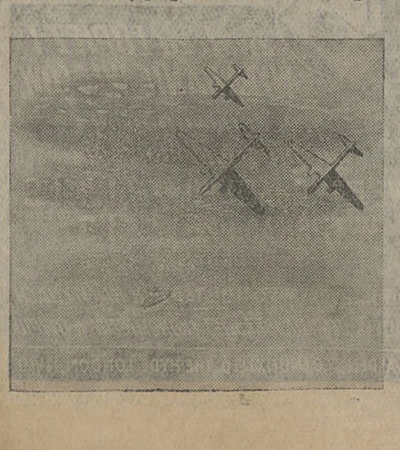
Całą uroczystość zakończyła defilada przed dowódcą angielskim i gośćmi. Szli wszyscy. Oficerowie i szeregowi. Jeden krok, jedno uderzenie nóg o ziemię, jeden zwrot głowy, jeden wymach ramion. Pokazano, że Polacy nie tylko umieją walczyć w powietrzu, ale potrafią też iść pięknie zwartym i równym krokiem!

Szedł wieczór. Sina, bezdenna mgła co niosła się o od mokrych jeszcze po odpływie brzegów—wyprzedzała zmierzch. Daleko na widnokręgu, poza balony odchodziło słońce.

Odznaki eskadry na kadłubach, mieniły się barwami. Trzynaście gwiazd wokół skrzyżowanych dwu kos i czapki krakowskiej. Odznaka walki i braterstwa!

Leon Świstun

zdobił Jerzy Faczyński





DZIAŁALNOŚĆ BOJOWA DYWIZJONU 303

za czas od 31 sierpnia 1940 do 31 sierpnia 1941

Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela:		Ilość wypraw bojowych:	Łączna ilość samolotów biorących udział w tych wyprawach:
pewnych	— 164		
prawdopodobnych	— 37		
uszkodzonych	— 7		
	208	352	2,365

DLACZEGO TU JESTEŚ ?

Czy był to Robinson Crusoe
Na książce z barwną okładką,
Czy majtek z brudną bluzą,
Który ci dał model statku?

Może wyścigi okrętów,
Wystrugiwanych z kory
Pośród strumyka zakrętów
W długie, czerwcowe wieczory?

Może ulgowe poranki
W podmiejskim kinie "Zniczu" ?
A może te czytanki
O Dunin-Wąsowiczu?

Cóż to za licho było,
Co pchnęło cię na morze,
Że żadną teraz siłą
Wyrwać się stąd nie możesz?

KONWÓJ

Już tydzień są tylko suchary
I tłusta baranina raz na dzień,
Klnie wiara na pokładzie,
Kwaśną ma minę stary
I śmieje się co raz rzadziej.

Bo kończyliśmy już rejs,
Gdy drucik przyniósł radiogram:
"AB Ship, CD place,
Na trasie pogoda dobra,
Z konwojem EF wrócić,
Kilka szczegółów w skrócie,
Six knots, seventeen days . . ."

Tak blisko był już port,
Ciepła kolacja, kąpiel,
Ląd stały,
Wtem zwrot: dokładnie North,
Prowiantu brak, deszcz siąpie,
Znów w morze, więc na nic się
Nie zdały
Marzenia o "fish and chips'ie,"
Pachnących "eggs and bacon"
O ciepłym mleku . . .
Opatulony w dwie ciepłe kurty
I grubych skarpet trzy pary
Patrzę na statki wiozące towary
W konwoju, z prawej burty.

Mijają wachty nocne i dzienne,
Morze błyszczące i morze szare,
Białe obłoki i chmury ciemne,
Twarde suchary i mięso stare,
I wichry zimne i słońca promienne,
W hamaku, w półśnie zamyślenia senne,
Dawne, wyblakłe, coś z postaci matki,
Jakieś ręce drapieżne, niemieckie, rosyjskie . . .
Stoję na wachcie i patrzę na konwój, na statki.
Wszystkie pięćdziesiąt wiezie produkty wojenne
I żywność na Wyspy Brytyjskie.

Patrzę na statki i nagle wiem,
I cieszę się, że tydzień już jem
Mokre i twarde suchary
I tłustą baraninę raz na dzień,
Choć wiara klnie na pokładzie,
Choć kwaśną ma minę stary
I śmieje się co raz rzadziej.

Józef Miłobędzki

Przegląd polityczny

Dzisiaj nie ulega już wątpliwości, że plany Hitlera, dotyczące błyskawicznego rozbicia armii rosyjskiej zawiodły, że wojna na wschodzie jest niezwykle ciężka i Niemcy znajdują się w tej chwili w szczytowym punkcie swego wysiłku. Hitler, stosując swoją dawną metodę jednej karty—rzuca do ataku wszystkie siły aby zdobyć Leningrad, Kijów, Odessę i Moskwę. To tak oczekiwane w Niemczech rozstrzygnięcie *musi wywalczyć na północy w przeciągu 15 dni a na południu w czterech tygodniach.* Inaczej czeka go już nie klęska, ale katastrofa.

Hitler nie chce dopuścić do organizacji nowych, rezerwowych armii rosyjskich, gdyż jego własne rezerwy są już na wyczerpaniu. Dlatego też posłano do ataku armię marszałka Loeb'a a na południu podjął olbrzymią ofensywę von Runstedt. Lecz w centrum przeszedł to kontrataku Timoszenko, rzucając w bój nowe dywizje czołgów, zupełnie nieznanej konstrukcji. Sami korespondenci berlińscy mówią o 65 tonowych czołgach w nowej, niezwykle zaciętej bitwie pod Smoleńskiem. *Prasa amerykańska oblicza szanse zwycięstwa na 50% dla każdej strony-czyli, że tak samo możliwy jest odwrót Rosjan poza Moskwę, jak i klęska niemiecka jeszcze przed zimą* 1941.

Teren Leningradu jest trudny, miasto jest dobrze bronione, wszelkie obliczenia na działalność piątej kolumny, na moralne załamanie się ludności—okazały się zawodne. Zdobycie miasta, dorównywującego obszarem Paryżowi może pochłonąć olbrzymią ilość ofiar w ludziach i materiale. A zarówno z ludźmi, jak i z materiałem zaczyna być w Niemczech ciężko. Bardzo często nadużywano w tej wojnie przymiotnika "decydujący", ale tym razem można z całym spokojem twierdzić, że nadchodzące tygodnie zadecydują o losie wojny na wschodzie—a co za tym idzie o możliwościach inwazji na wyspy brytyjskie, interwencji Japonii, Stanów Zjednoczonych, a poza tym, o nastrojach całego, przez Hitlera opanowanego kontynentu Europy.

Nastroje te są w tej chwili już groźne dla Niemiec. Na terenie Francji szerzą się sabotaże i nastrój ludności, zwłaszcza Paryża, jest zdecydowanie wrogi. Również co raz to bardziej niepokojące dla Hitlera wieści nadchodzą z Włoch. Sytuacja wojskowa w Libii nie jest korzystna. Anglicy wyzyskali czas na reorganizację swych sił i Rzym musi się liczyć ze wszelkimi niespodziankami. *Poza tym, na samym półwyspie wzrasta opozycja przeciwko Niemcom i dalszej wojnie po ich stronie.* Okazuje się, że śmierć syna Mussoliniego nie była "smutnym wypadkiem samolotowym," ale był to starannie zorganizowany zamach. Na skutek tego, jak i również z powodu rozdźwięków w partii rządzącej całe wewnętrzne życie Włoch znajduje się pod kontrolą Gestapo. W partii faszystowskiej, według doniesień amerykańskich, mają frondować Ciano, Ettore Muti i Starace, dawny sekretarz partii i człowiek bardzo wpływowy w Italii. Gestapo miało aresztować również księcia Rospigliosi, w jego willi pod Rzymem. Według tych samych doniesień, *stanowisko Watykanu jest zdecydowanie niechętne polityce osi, a w szczególności udziałowi Włoch po stronie Niemiec hitlerowskich.*

Europa trzymana jest przez Hitlera terrorem, w którym współdziała 82 miliony Niemców. Dotychczas całe społeczeństwa znajdowały się pod sugestią rzekomo "niezwyciężonej siły Niemiec." Olbrzymie błędy polityki francuskiej tłomaczą się przeświadczeniem rządu w Vichy, że Niemcy lada chwila zajmą Londyn, a więc należy zapatrywać się "realnie" na wszystkie zmiany, zachodzące w układzie sił europejskich. Tymczasem polityka polegająca na defetyźmie jest zawsze najgorsza.

W. Brytania znajdowała się przeszłego roku rzeczywiście w bardzo ciężkim położeniu; dzięki energii i wspaniałej decyzji Churchilla zdołano przetrwać najcięższy okres. Hitler popełnił błędy, które się mszczą już dzisiaj. Wystarczy jedna klęska, jedno większe niepowodzenie wojskowe, a cały gmach niemieckiej przewagi na kontynencie, gmach cementowany krwią i żelazem, runie jak domek z kart. Zacznie się od Francji i Włoch—a wicher antyniemieckiego pożaru przeleci przez Polskę, Belgię, Holandię, Norwegię, Jugosławię, Grecję, a wcale nie jest wykluczona całkowita zmiana nastrojów na Węgrzech, w Rumunii i Bułgarii.

W najściślejszym związku z sytuacją na froncie w Rosji, pozostaje stosunek Japonii do państw sprzymierzonych. Odnosi się wrażenie, że między Berlinem a Tokio istniał układ, w myśl którego Japonia miała wejść do walki po zdobyciu Leningradu lub zajęciu Moskwy. Spodziewano się tych sukcesów zaraz w początkowych tygodniach walki i dlatego ton prasy japońskiej był tak napastliwy wobec Ameryki i W. Brytanii. W miarę jednak nadchodzenia co raz to gorszych wieści z niemieckiego frontu ochota do wplątywania się w wojnę w jej obecnej fazie silnie zmalała w państwie Wschodzącego Słońca. Tym bardziej, że zawiodły również nadzieje blokady Rosji, z powodu okupacji Iranu przez wojska brytyjskie i sowieckie. Droga z Bagdadu przez Theheran na Kaukaz bardzo przypomina pod względem doniosłości strategiczno-komunikacyjnej słynną drogę birmańską, z Indyj do Chin. Nie ulega wątpliwości, że Japonia wykorzystałaby natychmiast klęskę rosyjską. Ale oczekiwane rozstrzygnięcie nie nadchodzi—i Tokio przemawia w tonie o wiele mniej napastliwym i prowokującym, aniżeli przed dwoma miesiącami.

Na Oceanie Atlantyckim straż nad bezpieczeństwem wielkich szlaków morskich obejmuje Ameryka. *Tak bowiem należy tłomaczyć rozkaz Roosevelta wydany do floty, a nakazujący strzelanie do niemieckich okrętów wojennych.* Wojna nieoficjalna Niemiec ze Stanami Zjednoczonymi, która trwa już od kilku miesięcy—może lada chwila przeistoczyć się w wojnę "oficjalną," to jest zerwanie w ogóle wszystkich stosunków dyplomatycznych.

Z drugiej strony Niemcy topią już czwarty statek amerykański. Społeczeństwo w Stanach liczy się bardzo poważnie z koniecznością zbrojnego wystąpienia Ameryki i to na olbrzymią skalę. Wojna ta będzie bardzo poważnym ciosem dla odporności nerwowej Niemiec. W trzeciej Rzeszy dobrze pamiętają, iż z chwilą przystąpienia Stanów do wojny w 1917 roku—zaczęła się seria bardzo poważnych niepowodzeń niemieckich, rzucenie na szalę wypadków olbrzymiego przemysłu amerykańskiego było początkiem katastrofy Wilhelma II. W stosunku do Ameryki żywi się w Niemczech respekt, połączony ze strachem. I propagandzie Goebbelsa będzie bardzo trudno przekonać poddanych Führera, że rok 1941 jest rzeczywiście okresem "największych triumfów Trzeciej Rzeszy."

tk



Dnia 10 b.m. została otwarta w siedzibie Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie wystawa fotografii nadesłanych na konkurs fotograficzny "Polski Walczącej." Pod względem plastycznym wystawę przygotował bardzo starannie artysta malarz Tadeusz Lipski, obmyślając ją w najdrobniejszych szczegółach, aż do afisza włącznie, którego projekt reprodukujemy.

Wystawa wzbudziła żywe zainteresowanie.

Jak to było rok temu . . .

rysował i opowiedział Józef Stojek



Obrzydł Felkowi namiot, więc wali do miasta
Spostrzegł cudo w spódniczce, myśli: "Jest niewiasta!"

Zagadnął tedy do niej. . . i zrzedła mu mina,
Bo to Szkot był w spódnicy, nie szkocka dziewczyna.

Więc sobie myśli Felek, wariactwa bliski:
"Ha, cóż robić — z tym gościem pójdę se na wiski!"

I znowu się pomylił, bo sądził po portkach,
Że ze Szkotem jest sprawa, a to była Szkotka.

Los chciał, że wieczór w barze w trójkę się spotkali.
Zaczem pomyłki Felka serdecznie ob

SPIS RZECZY.

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. 1-e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej—13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 44, Brook Street, W.1. Tel., MAYfair 6543.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.